projekt klasy 1d
rok szkolny 2021/22
opr. Jolanta Wróblewska

Uczniowie klasy 1d przeprowadzili rozmowy z osobami, które pamiętają wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. Rozmówcy wtedy byli dziećmi, inni chodzili już do szkoły, a jeszcze inni założyli właśnie rodzinę, stawali się rodzicami lub podejmowali pierwsze zawodowe wyzwania. Wśród wspominających są również osoby pamietające doskonale opowieści swoich rodziców, którzy przeżyli II wojnę światową. W grudniu 1981 roku byli już dojrzałymi ludźmi, którzy chcieli po prostu spokojnie żyć.

Pytaliśmy o to, jak nasi bohaterowie dowiedzieli się o wprowadzeniu stanu wojennego, co wtedy czuli, a może zapamiętali, co wtedy właśnie robili?
Ciekawiło nas, jak zmieniło się ich życie od czasu wprowadzenia stanu wojennego, jak w tym czasie wyglądała nauka w szkole, jak podróżowano po kraju? Wspominając czasy stanu wojennego, wielu naszych rozmówców doskonale zapamiętało złe zaopatrzenie w sklepie. Mówili również o tym, jak wyglądały wtedy relacje międzyludzkie.

Serdecznie zapraszamy do lektury.

Wywiady przeprowadzili:

Zofia Benedyk, Alicja Błach, Aleksandra Błoniarz, Iga Cichocka, Wiktoria Cieślak, Izabella Fidelak, Pola Frąk Pola, Anna Guzikowska, Pola Kawa, Oliwia Kazubek, Nikoletta Kleszczyńska, Alicja Knysz, Zofia Konieczna, Maja Kotkiewicz, Nikola Kozak, Amelia Krawiec, Łucja Kruk, Martyna Małecka, Łucja Paprota, Agata Parzyjagła, Oliwia Pawlak, Zofia Płocka, Kalina Pobiedzińska, Agata Porada, Damian Przyborek, Wiktoria Rozbicka, Viktoriia Stepanova, Michał Świerbutowicz, Patrycja Węgrzyn, Wiktoria Wywrot, Zofia Zielińska, Ewa Zdziebło.

Na okładce znajduje się zdjęcie Chrisa Niedenthala.
W historii polskiej fotografii nie ma zdjęcia,
które mogłoby oddać ducha czasu z taką mocą jak ten obraz.
Zdjęcie ukazuje wojskowy transporter opancerzony,
stojący przed warszawskim kinem Moskwa,
w którym wyświetlano film F.F. Coppoli „Czas Apokalipsy".
Stało się ono jednym z najważniejszych symboli stanu wojennego.

Projekt okładki: Łucja Kruk

Paweł Fidelak
w czasie wprowadzenia stanu wojennego miał 8 lat,
mieszkał we Wrocławiu i uczęszczał do drugiej klasy SP nr 27 na Żernikach.

Nie pamiętam czy w domu coś się wtedy o tym mówiło, w każdym razie moi rodzice postanowili, że nie pójdę tego dnia do szkoły i zawiozą mnie do moich dziadków, którzy mieszkali na ulicy Lubuskiej. Do dziadków jechaliśmy autobusem i jedną z rzeczy, które zapamiętałem to był widok wielu milicjantów i wojskowych. Dopiero gdy w okolicy Fatu na ul. Grabiszyńskiej zatrzymano autobus i kazano nam wysiąść, to zrozumiałem, że coś się dzieje. Nie chciano nas przepuścić i mój tato kłócił się o to z milicjantami. Gdy wreszcie udało nam się przejść i dotarliśmy do rodziny, ja tam zostałem, a moi rodzice poszli do pracy. Czułem, że moi bliscy się boją i są niespokojni.

Najbardziej bałem się niepewności moich bliskich, bałem się także momentów, gdy wychodziłem na podwórko, a tam zawsze gdzieś wokoło znajdowała się milicja. Gdy mieszkałem z dziadkami, a na dworze było już zimno, to mój dziadek parzył herbatę w termosach i roznosił ją milicjantom, którzy chodzili w okolicy bloków. Wtedy tego nie rozumiałem i nie wiedziałem w takim razie, kto jest zły, a kto nie.

Na pewno zmieniło się to, że długi czas mieszkałem z dziadkami. Nie jestem w stanie określić, ile dokładnie to trwało, ale wiem, że po jakimś czasie wróciłem do domu i wtedy trzeba było już sobie radzić z różnymi ograniczeniami np. godziną policyjną. Po pobycie u dziadków wróciłem do szkoły, ale jeśli mam być szczery, to nie odczułem dużej różnicy w edukacji. Myślę, że większy wpływ miało to na starszych uczniów.

Pamiętam, że były ograniczenia w sklepach i małe ilości produktów, trzeba było mieć kartki na cukier i na tego typu dobra. Ale pamiętam, że sklepy były otwierane dopiero o godzinie 13:00 na bardzo krótko. Raz w tygodniu po lekcjach mama wysyłała mnie, żebym stanął wcześniej do kolejki po mięso. Jakoś po dwóch godzinach stania mama przejeżdżała z pracy, koło 15. Z reguły w kolejce byłem drugi, bo nigdy nie chciałem stać pierwszy. Gdy przychodziłem to czekałem, aż ktoś pierwszy przyjdzie i stanie w kolejce, ponieważ wstydziłem się stać tam sam, a w kolejce były same panie. Mięsa i tak starczało tylko dla tych kilku pierwszych osób.

Piotr Paprota

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miał 9 lat mieszkał w Kowarach i był uczniem szkoły podstawowej.

O stanie wojennym dowiedziałem się od rodziców, byłem zadowolony, ponieważ nie musiałem chodzić do szkoły i razem z kolegami mogliśmy szpiegować żołnierzy w parku. Przez jakiś czas nie chodziliśmy do szkoły, nie można było wychodzić z domu między godziną 22.00 a 6.00, dla mnie nie zmieniło się za wiele, bo miałem dopiero 9 lat i mieszkałem na wsi. Później nauka wyglądała tak samo jak przed wprowadzeniem stanu wojennego, przynajmniej dla mnie, bo chodziłem do 3 klasy, a nauczyciele nie za bardzo mogli z nami rozmawiać o stanie wojennym. Najbardziej bałem się, że mojego ojca wyrzucą z pracy, ponieważ należał do „Solidarności".

W sklepach były praktycznie same puste półki. Jak przyjeżdżała dostawa, to wszystko od razu było sprzedane, nikt nie zdążył wyłożyć towaru na półki. Przez cztery godziny stałem w kolejce za kawą i cukrem, w końcu przyjechała dostawa, a w niej sama sól. Ludzie ze względów bezpieczeństwa rzadziej się spotykali, bali się rozmawiać ze sobą tak jak wcześniej.

Utkwiło mi w pamięci pobicie przez milicję trzech mężczyzn i było to na dworcu w Kowarach. Razem z kolegami chodziliśmy po mieście, bo nie mieliśmy nic innego do roboty. Poszliśmy na dworzec i zobaczyliśmy milicjantów, którzy gonili mężczyzn. Coś do nich krzyczeli, ale tamci nawet się nie odwrócili. W końcu ich dogonili i zaczęli ich bić pałkami.

Zdj. Oddział funkcjonariuszy MO/ZOMO blokujących ulicę.
Ze zbiorów wrocławskiego oddziału IPN.

Zofia
w momencie wprowadzenia stanu wojennego miała 10 lat, mieszkała w Puławach.

Ze względu na niepewność tego co będzie, odczuwałam strach i niepokój o innych. Była zima, niedziela. W telewizji został wyemitowany komunikat o wprowadzeniu stanu wojennego i nie było żadnych programów telewizyjnych. Komunikacja miejska nie działała, został wprowadzony zakaz przemieszczania się. Dostaliśmy informację, że szkoły zostaną zamknięte. Osoby pracujące w wojsku zostały skoszarowane i nie mogły wrócić do rodzin. Na ulice wyjechały czołgi, były liczne patrole.

Z jednej strony odczuwałam na początku radość, że nie będziemy chodzili do szkół, ale później okazało się, że nie mogliśmy również spotykać się ze znajomymi.

Nie można było podróżować bez specjalnych przepustek, nawet z miasta do miasta. Część nauczycieli została internowana. W sklepach nie było towaru, zarówno po zakupy spożywcze, jak i inne towary, ustawiały się długie kolejki. Na artykuły spożywcze wprowadzono reglamentację towarów, w zależności od wieku, płci, zawodu, miejsca zamieszkania. Dostawało się przydział kartek na: mięso, wędlinę, cukier, czekoladę, papierosy, alkohol. Aby kupić niektóre artykuły np. meble lub sprzęt AGD, trzeba było stać w kolejce nawet kilka tygodni.

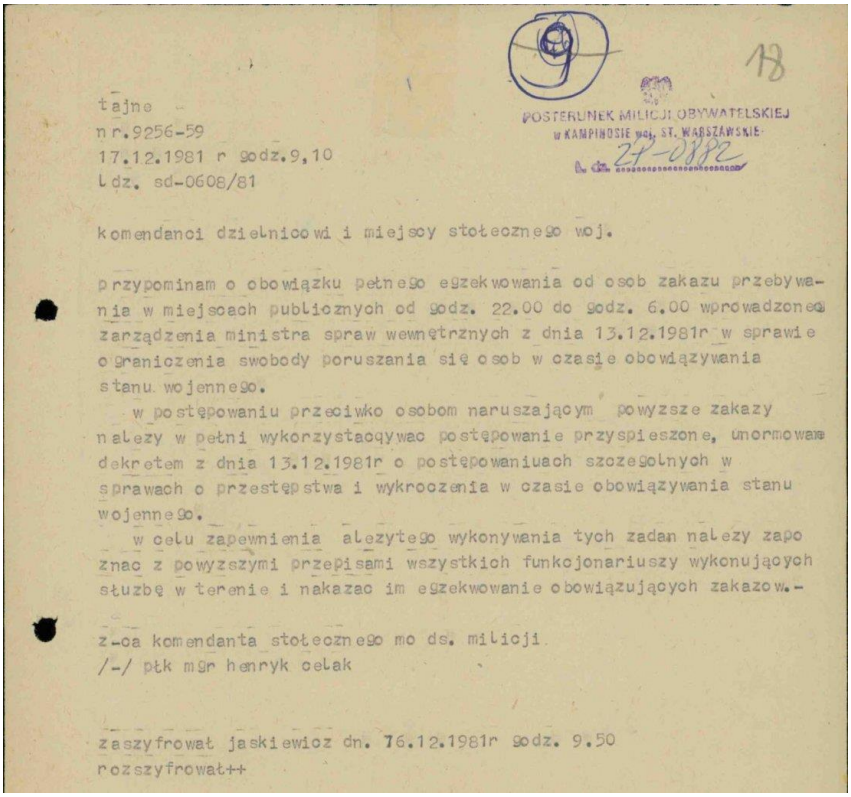

9

18

POSTERUNEK MILICJI OBYWATELSKIEJ
W KAMIONOSIE woj. ST. WARSZAWSKIE
L. dz. 27-0882

tajne
nr.9256-59
17.12.1981 r godz.9,10
Ldz. sd-0608/81

komendanci dzielnicowi i miejscy stołecznego woj.

przypominam o obowiązku pełnego egzekwowania od osob zakazu przebywania w miejscach publicznych od godz. 22.00 do godz. 6.00 wprowadzonego zarządzenia ministra spraw wewnętrznych z dnia 13.12.1981r w sprawie ograniczenia swobody poruszania się osob w czasie obowiązywania stanu wojennego.

w postępowaniu przeciwko osobom naruszającym powyższe zakazy należy w pełni wykorzystacqywac postępowanie przyspieszone, unormowane dekretem z dnia 13.12.1981r o postępowaniuach szczególnych w sprawach o przestępstwa i wykroczenia w czasie obowiązywania stanu wojennego.

w celu zapewnienia należytego wykonywania tych zadan należy zapoznac z powyższymi przepisami wszystkich funkcjonariuszy wykonujących służbę w terenie i nakazac im egzekwowanie obowiązujących zakazow.-

z-ca komendanta stołecznego mo ds. milicji
/-/ płk mgr henryk cetak

zaszyfrował jaskiewicz dn. 16.12.1981r godz. 9.50
rozszyfrował++

Zdj. Szyfrogram komendanta stołecznej milicji, dotyczący egzekwowania zakazu przebywania w miejscach publicznych w czasie godziny milicyjnej. Źródło: archiwum IPN.

Wioletta Kloc

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 12 lat
była uczennicą szkoły podstawowej i mieszkała w Starym Węglińcu.

O stanie wojennym dowiedziałam się od moich rodziców. Moja mama bardzo płakała, a płakała, bo to można powiedzieć wojna. Tato był cały roztrzęsiony. Później w radiu można było usłyszeć komunikaty. Po prostu była napięta atmosfera. Wiedziałam mniej więcej jak wyglądały wojny, bo wiadomo, że oglądało się filmy. Bałam się, że będę głodna, że rozdzielą od rodziców, że będę sama, że po prostu mnie zabiorą. Dokładnie tak to sobie wyobrażałam, jak w filmach było ukazane.
Na pewno istniało napięcie między ludźmi. Każdy bał się, że zamkną go do więzienia, jak tylko będzie mówił źle o milicji. Nikt nie był pewny, kto kim jest, bo przecież istniały podsłuchy i mówiono, że może ktoś kogoś nagabuje. Rodziną byliśmy wszyscy razem, raczej nikt nie mieszkał w innym mieście. A na ogół poruszanie się po kraju było ciężkie. Nie można było wyjeżdżać poza granice swojej miejscowości/województwa.

W sklepie był przede wszystkim ocet i puste półki, wszystko było na kartki. Mogę powiedzieć, że nie byliśmy jakąś biedną rodziną, bo mieliśmy pieniądze, ale co mieliśmy kupować, jeżeli nic nie było? Kiedy stałam w kolejce po buty, to najpierw stali moi rodzice, bo trzeba było jej pilnować już trzeci, a może nawet czwarty dzień, a później jeszcze tydzień. Kiedy towar przyszedł, poszłam razem z mamą, bo nie daliby nam więcej niż parę na głowę. Buty miały być dla mnie, więc żeby na szybko przymierzyć, musiałam iść z nią. Niestety, nie było mojego rozmiaru, więc musiałam wziąć 2/3 rozmiary większe, żeby w ogóle mieć w czym chodzić. Później płakałam, że nie będę w nich chodzić, bo były strasznie brzydkie.

Zdj. Zbigniew Stokłłosa,
Źródło:https://gazetawroclawska.pl/zobacz-jak-robiono-zakupy-w-czasach-prl-duzo-archiwalnych-zdjec/ga/c13-9429250/zd/17081538

„Mały Leon”

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miał 14 lat,
mieszkał we Wrocławiu i uczył się w pierwszej klasie liceum.

To była niedziela, moi rodzice wrócili z kościoła, obudzili mnie i moich braci, powiedzieli, że jest stan wojenny. Włączyliśmy telewizor, zamiast „Teleranka” zobaczyliśmy na ekranie powtarzające się informacje, usłyszeliśmy obwieszczenie generała Jaruzelskiego. Jako dziecko nie miałem za bardzo co zrobić. Przyglądaliśmy się, co się będzie działo. Widzieliśmy wojsko, które stało na rogatkach miasta i kontrolowało wszystkich. Bałem się takiej prawdziwej wojny, tego, że wojskowi będą strzelać do ludzi, że ktoś wyda taki rozkaz.

Był kryzys, w sklepach stało się w kolejkach prawie za wszystkim. W działania państwa zaangażowane było wojsko, które podsycało i wykorzystywało strach ludności. Wprowadzono godzinę milicyjną, ograniczenia, nie można było prawie nigdzie wychodzić, spotykać się, chodź się spotykaliśmy… Nauka była w miarę normalna, nie było większych różnic w nauczaniu. Nauczyciele byli zdezorientowani tym co się dzieje. Bali się mówić wielu rzeczy, w obawie przed donosem uczniów do władz, że robią coś nie tak. W pociągach i autobusach były kontrole, auta osobowe zatrzymywano, legitymowano pasażerów przejeżdżających przez pewne punkty. Ja i moja najbliższa rodzina nie jeździliśmy wtedy do nikogo, wyjazdy były ograniczone, więc nawet święta spędzaliśmy w najbliższym gronie.

W sklepach brakowało wielu rzeczy. Stało się w kolejkach za podstawowymi produktami. Buty, mięso, papierosy, kawa, cukier były na kartki… bardzo wiele artykułów było reglamentowanych. Pamiętam, że stojąc w kolejce do sklepu kobiety w ciąży były uprzywilejowane. Ale zdarzało się, że nie będąc w ciąży kobieta wkładała sobie poduszkę pod sukienkę i udawała, po to aby zostać wpuszczoną bez kolejki. Często zdarzały się omdlenia przez ścisk jaki tam panował. Brak podstawowych produktów i ograniczone ilości innych powodowały wiele przykrych sytuacji. Ludzie w pogoni za rzeczami potrafili nawzajem się przyduszać, deptać po sobie.

Ludzie wówczas byli przejęci całą tą sytuacją, przez to byli nieufni. Mimo tego pomagali sobie, informowali się nawzajem o podejrzeniach, przekazywali sobie istotne informacje. Często wymieniali się produktami, które udało im się kupić.

Pamiętam jak na stadionie był mecz piłki nożnej, bo takie mecze wówczas również organizowano. Po jego zakończeniu wracał tłum, bo na stadionie było dużo ludzi. Wznoszono okrzyki dotyczące „Solidarności” i przyjechało wtedy ZOMO. Goniło, biło ludzi winnych czy niewinnych, nie patrzyli na to, czy to kobieta czy mężczyzna, czy to starsza osoba czy młodsza, wszystkich potrafili spałować

Grzegorz Rozbicki

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miał 13 lat, mieszkał w Bielawie i chodził do szkoły podstawowej.

Wstałem rano i chciałem włączyć jak co niedzielę o 9.00 „Teleranek" (program telewizyjny dla dzieci). Zaskoczyło mnie, że nie było żadnego programu w telewizji. Mój tata wtedy powiedział, że pewnie „Solidarność" opanowała telewizję. Jednak w późniejszych godzinach okazało się, że było wręcz odwrotnie i to wojsko przejęło kontrolę nad telewizją i całym państwem. W telewizji przemawiał generał Wojciech Jaruzelski, który poinformował o wprowadzeniu stanu wojennego. W pierwszym momencie byłem tylko zdziwiony brakiem programu, który zawsze oglądałem. Nie czułem w związku z tą sytuacją strachu ani negatywnych emocji. Dopiero po pewnym czasie, pod wpływem rozmów dorosłych, zacząłem sobie zdawać sprawę z zaistniałej sytuacji. Z tego co pamiętam, nie poszliśmy do szkoły. Z powodu stanu wojennego były zamknięte i wróciliśmy do nich dopiero po nowym roku.

Najbardziej z rodziną baliśmy się o mojego tatę, ponieważ jego zakład jako jedyny w Bielawie rozpoczął strajk, a do tego tata miał problemy zdrowotne i nie wiedzieliśmy co się wydarzy, jak postąpią władze ze strajkującymi. Pamiętam, że jako dziecko bałem się, że zabiorą mi krótkofalówki, które dostałem jako prezent od rodziców. Wtedy takie rzeczy należało oddać na milicje, a tego nie zrobiliśmy.

Trzeba było uzyskać zgodę od władz na podróż do miasta z innego województwa. Kiedy chcieliśmy odwiedzić rodzinę we Wrocławiu, moi rodzice musieli uzyskać takie pozwolenie. Jadąc do Wrocławia, na początku miasta stał patrol milicyjno-wojskowy wraz z wojskowymi transporterami. Trzeba było pokazać zezwolenie na podróż. Taki patrol był również przy wyjeździe z miasta.

Były puste półki w sklepach. Jedynie od czasu do czasu dostarczano jakiś towar, który był reglamentowany poprzez kartki. Każda osoba miała przydział kartkowy. Dzięki temu, że miałem rodzinę w Berlinie zachodnim, otrzymywaliśmy paczki ze słodyczami i potrzebne artykuły, szczególnie dostawaliśmy je na święta. Osobiście nie lubiłem stać w kolejkach do sklepów i zdarzało się to jedynie przed świętami. Pamiętam sytuację podczas odwiedzin mojej cioci z Berlina. Przyszła do nas sąsiadka z informacją, że są jajka w sklepie. Poszliśmy szybko wszyscy razem i stanęliśmy w kolejce. Była śmieszna sytuacja, bo wszyscy dostali po sześć jajek, a ciotka z Berlina dostała ich aż dwanaście.

Mieliśmy szczęście, że byliśmy otoczeni ludźmi o podobnych przekonaniach, więc nie baliśmy się, że ktoś doniesie na nas. Większość znajomych należała do „Solidarności", tak jak moi rodzice.

Brygida
w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 14 lat, mieszkała w Poznaniu.

To było w ciągu dnia, telewizor był włączony i generał Wojciech Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Moja mama wpadła w panikę, zaczęła pakować walizki zupełnie bez sensu, bo zaczęła pakować do nich przypadkowe przedmioty, które leżały obok. Nie wiem po co jej były potrzebne na przykład kolczyki czy jakieś brożki, które były schowane w jakiś tam pudełeczkach. Nie myślała racjonalnie. Potem nadszedł wieczór i to było takie niefajne uczucie, bo jak czołg jedzie, to wydaje dźwięk takiego łańcucha. To była zima, po śniegu biegali ludzie, coś krzyczeli. My w panice, bo nie wiadomo czy się kłaść spać czy iść, uciekać. Nie było to fajne, nie było to na pewno miłe uczucie.

W zasadzie nie atakowano rodzin wojskowych, ale mój ojciec i ojciec mojej koleżanki z sąsiedztwa chcieli wywieźć własne rodziny, gdzieś za Poznań. Nie wyjechaliśmy w końcu i została całe nasze osiedle, otoczone czołgami i wojskowymi samochodami opancerzonymi. To była jakby taka nasza ochrona. Mój ojciec jak wyszedł z domu, to nie było go dwa tygodnie, bo gdzieś tam też siedział na tych wszystkich barykadach. Ulice były patrolowane, nie można było wychodzić po godzinie 22, bo była tak zwana godzina policyjna. Byłam wtedy dzieckiem, więc z tego okresu pamiętam niewiele. Ale pamiętam np. jak mój ojciec wracał do domu raz na dwa tygodnie, brudny, śmierdzący, zarośnięty, wychudzony, bo tam ciągle gdzieś się przemieszczali. Przebierał się, brał jakiś zapas czystych ubrań w torbę, no i wyjeżdżał znowu, nawet nie mówił nam gdzie będzie, jak będzie. Wtedy też nie było telefonów komórkowych, więc takie komunikowanie się z drugim człowiekiem było utrudnione. Wyłączono wszystkie telefony, zdarzało się też tak, że był wyłączany prąd i całymi dniami z mamą tak siedzieliśmy w domu. Jak się wychodziło z domu nawet w ciągu dnia, to ciągle wszędzie widziałaś uzbrojonych żołnierzy. Aby przemieścić się z miasta do miasta, trzeba było mieć przepustkę. W sklepach dostawy były zawsze opóźnione, więc nie było tak jedzenia, no może nie brakowało jedzenia, ale nie było tak jak w tej chwili, że masz ochotę, idziesz i kupujesz sobie co chcesz. Chodziło się do sklepu, stało się w kolejce i brało się cokolwiek, co można by było zjeść, czy ugotować coś z tego. Były brzydkie to czasy, niefajne bardzo.

Jako dziecko źle to odbierałam. Był też taki moment, że się bałam wychodzić i siedziałam w domu. Nawet jak miałam wychodzić z psem na podwórko, to gdzieś tam widziałam te stojące czołgi i czułam jakiś niepokój.

Piotr Gwoździło

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miał 15 lat, mieszkał we Wrocław i uczył się.

O stanie wojennym dowiedziałem się przez telewizję, to była niedziela, mroźny poranek, śnieg. Przestał działać telewizor, zawsze o tej porze był „Teleranek" i nagle cisza, nic, dopiero po jakimś czasie wystąpił w telewizji Jaruzelski. Wszyscy byli zdziwieni. Poczułem strach i niepokój. Wtedy byliśmy w domu, bo było bardzo zimno. To była taka wielka niewiadoma, stan wojenny, no człowiek nie wiedział co go spotka.

Jak wprowadzono stan wojenny, no to i godzina milicyjna, było więcej patroli na ulicach, no kontrolę. Takie było inne życie, no bo na przykład na placu Wielkopolskim we Wrocławiu to przez Trzebnicką czołgi wjeżdżały. Od godziny 22.00 nie można było z domu wychodzić, chyba że naprawdę człowiek musiał, jakaś karetka, szpital. Wtedy nauka normalnie przebiegała z tym, że wychowawca kazał nam czytać różnego rodzaju gazety, takie tam „Trybuna Ludu", „Wieczór Wrocławia", „Słowo polskie" i zbierać wycinki.

Powiem szczerze, że ja nie podróżowałem w czasie stanu wojennego, ale wiem, że były kontrole na trasach. Oczywiście nie tak pociągiem, ale jak się jeździło na przykład autokarem czy osobówką, no to jak chcieli, to mogli cię skontrolować. Człowiek czuł te oczy na plecach, wszędzie było wojsko. W sklepach były straszne kolejki za wszystkim. Pamiętam jak mama załatwiła gdzieś kabanosy, no to po kawałku się łamało, to było takie dobre, że ojejku. Ja pamiętam, że jak się weszło do sklepu mięsnego, to na jednej półce sam ocet był. Same butelki octu. No i te haki, co były na mięso, na szynki, tam to wszystko puste, jedynie to człowiek się dowiadywał się, że miała być dostawa.

Relacje między ludźmi wtedy były sto razy lepsze jak teraz. Kiedyś ludzie, tak się jakoś razem ze sobą scalali. Ja pamiętam, że w kamienicy od góry do dołu sąsiedzi, znali się i jeden drugiemu pomagał, bo była taka życzliwość, takie zgranie międzyludzkie.

Zdj. Antykomunistyczne napisy wykonane w dniu 14.02. 1982 w budynku LO Nr XIV we Wrocławiu. Ze zbiorów wrocławskiego oddziału IPN.

Dorota Przyborek

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 16 lat, mieszkała we Wrocławiu i uczyła się w szkole gastronomicznej.

W telewizji generał Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Mój tata się zdenerwował, lecz nie jakoś szczególnie, ale mama to się rozpłakała, bo mama przeżyła drugą wojnę światową i bała się, że może być wojna domowa. No i oczywiście ludzie się denerwowali, przestraszyli przede wszystkim, co to będzie, a na ulicach pojawiły się zmotoryzowane oddziały milicji. Najbardziej bałam się tego żeby nie było jakiś zamieszek. Każdy się bał, oni używali gazu łzawiącego.

Jeżeli ktoś chciał pojechać do innego miasta, musiał mieć specjalne zezwolenie, bo inaczej nie wolno było opuszczać swojego miejsca zamieszkania. Nie wolno sobie było tak jeździć z błahych powodów, na przykład, żeby odwiedzić rodzinę. Trzeba było mieć konkretnie jakiś powód. Była taka sytuacja przed świętami, ludzie kupowali jajka, które też było ciężko dostać. Pan z taką panią to aż się tam poszarpali. Ludzie musieli ich rozdzielać, bo byli agresywni.

Na ulicach było wojsk. Nawet były takie dni, że mogły jechać czołgi po ulicy. Wszędzie też stały grupki ZOMO i pilnowali, mogli po prostu sprawdzać dokumenty. Funkcjonowała wtedy godzina milicyjna od godz. 22.00 do 6.00 rano. Na ulice nie wolno było w ogóle wychodzić o tej godzinie, chyba, że ktoś pracował, to wtedy miał specjalne zezwolenie. Milicja mogła aresztować kogoś, kto nie posiadał takiej przepustki.

Zdj. Archiwum Gazety Wrocławskiej.

Alina Dudziec

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 17 lat,
mieszkała w Kątach Wrocławskich i chodziła do IX LO we Wrocławiu.

Stan wojenny ogłoszono w niedzielę rano. Pamiętam, że na początku byłam przestraszona śnieżeniem w telewizorze. Komunikat o stanie był puszczany o pełnej godzinie. Wtedy powiedzieli o trzech tygodniach wolnego od szkoły, więc ja z rodzeństwem bardzo się cieszyliśmy. Nasi rodzicie przyjęli to z przerażeniem. Mama zaczęła płakać, a ojciec zaczął się modlić. Wtedy zrozumiałam, że wcale nie jest tak fajnie, że jednak coś się dzieje. Ojciec z mamą w kuchni zaczęli szukać radia Wolna Europa i z uchem przy głośniku słuchali jakiejś audycji. Jako nastolatka nie czułam strachu, to moi rodzice bali się, że będzie wojna, że nie będzie jedzenia, i że będzie strasznie.

Po tych 3 tygodniach niechodzeni do szkoły wiele się zmieniło. Nauczyciele zaczęli nosić takie biało - czerwone kokardki, a my nosiliśmy wpięte małe oporniki. Szacunek dla nauczycieli był ogromny. Jakaś taka niewidzialna więź się wytworzyła między nimi a uczniami. Pamiętam reakcję po pacyfikacji w kopalni Wujek. Poczta pantoflowa w szkole głosiła, że obowiązuje czarny strój. I większość uczniów i nauczycieli przyszła ubrana na czarno. Taka powszechna żałoba była bardzo przejmująca.

Życie jak życie, trzeba było jakoś żyć. A zmiany to np. umundurowani spikerzy telewizyjni i plakietki z napisem „zakaz fotografowania, obiekt zmilitaryzowany". W sklepach nic nie było, stało się w kolejce bo „a nuż coś rzucą". Pamiętam, że stałam w kolejce po karpia na święta, od piątej rano do piętnastej, a później zmieniała mnie siostra. I do dzisiaj ten wystany karp jest dla mnie symbolem zmian. W kolejkach była taka solidarność, obok siebie stali sąsiedzi, znajomi, koleżanki, kuzynki. Było rodzinnie, opowiadano anegdoty, była herbatka z termosu.

Zdj. Arch. IPN Wrocław. Ze zbiorów Ireny Dylawerskiej

Urszula Zielińska

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 21 lat,
w październiku 1981 urodziła swoje drugie dziecko,
mieszkała z mężem we Wrocławiu.

O stanie wojennym dowiedziałam się podobnie jak większość ludzi. Była to niedziela, jednak zamiast piejącego koguta z „Teleranka" wystąpił z oświadczeniem Wojciech Jaruzelski. My nie mieliśmy jeszcze wtedy telewizora. Dowiedzieliśmy się o tym zbrodniczym akcie z radia. Jeszcze dokładnie nie wiedzieliśmy wtedy co nas czeka. Byliśmy z mężem zdezorientowani.

Bardzo się zmieniło. Dla zwykłego obywatela stan wojenny oznaczał wprowadzenie godziny milicyjnej, bo w godzinach od 22.00 do 6.00 rano nie można było się nigdzie poruszać. Mąż pracował jako kierowca komunikacji miejskiej na dwie zmiany. Aby dotrzeć do pracy lub wrócić do domu podczas godzin milicyjnych, musiał posiadać specjalną przepustkę, wydawaną przez zakład pracy. Wprowadzono cenzurę korespondencji, zawieszono komunikację telefoniczną, a kiedy ją już przywrócono, to rozmowy były nagrywane. Bardzo trzeba było uważać co się mówiło, aby nie narazić siebie lub innych na aresztowanie. Był również zakaz zmiany miejsca pobytu. Z tego co pamiętam to początkowo nauka w szkołach i na uczelniach została zawieszona. Po kilku tygodniach naukę przywrócono, jednak obowiązywała cenzura.

Niewiele można było kupić w tamtym okresie. Półki świeciły pustkami. W sklepie mięsnym wisiały parówki i bloki smalcu. Wprowadzone zostały kartki żywnościowe. Ludzie wymieniali się nimi w zależności od potrzeb. Był duży problem z zakupem ubrań dla dzieci. Przerabialiśmy stare ubrania, cerowaliśmy dziury, robiliśmy na drutach. Jakoś trzeba było sobie radzić, ale nie było łatwo. Ten czas na zawsze zostanie zapamiętany źle, bo żyliśmy w ciągłym strachu. Pamiętam wozy bojowe, czołgi, ludzi do których strzelano z armatek wodnych, aresztowania, strajki w zakładach pracy, milicję, ZOMO. W tamtych czasach ludziom wyrządzono wielką krzywdę.

Zdj. Arch. IPN Wrocław. Ze zbiorów Ireny Dylawerskiej.

Jolanta

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 21 lat,
była studentką Uniwersytetu im. Bolesława Bieruta we Wrocławiu.

To był niedzielny poranek, mój ojciec zaalarmował, że w telewizji ogłaszane jest coś dziwnego. Okazało się, że to generał Jaruzelski ogłasza inną rzeczywistość. Na studiach niektóre zajęcia zostały zawieszone, a na niektóre trzeba było chodzić. W instytucie pojawiła się flaga Solidarności, pod którą niektórzy po kryjomu zapalali znicze. Byli jednak i tacy studenci i pracownicy naukowi, którzy te znicze likwidowali.

Kiedyś była świadkiem zamieszek ulicznych. Wysiadłam wtedy na Dworcu Świebodzkim i szłam na przystanek tramwajowy na pl. Kirowa, dzisiaj się chyba nazywa Orląt Lwowskich. Znalazłam się w centrum tych potyczek, paliły się koksowniki , a wielka ilość rozpylonego gazu łzawiącego bardzo utrudniały mi oddychanie i widzenie. W powietrzu fruwały jakieś przedmioty. Ludzie biegali i krzyczeli. Na szczęście tramwaje kursowały, więc udało mi się oddalić w miarę szybko z tego miejsca, ale oczy łzawiły jeszcze parę dni. Przeżyłam również sprawdzanie dokumentów przez żołnierzy, którzy zatrzymali jadący autobus. Wszyscy musieli wysiąść, a oni oglądali nasze dokumenty i kontrolowali bagaże.

Na początku była strach, ale z czasem oswoiliśmy się z tym i trzeba było jakoś funkcjonować. Wiadomo, że walka trwała, że coś się dzieje w różnych rejonach kraju.

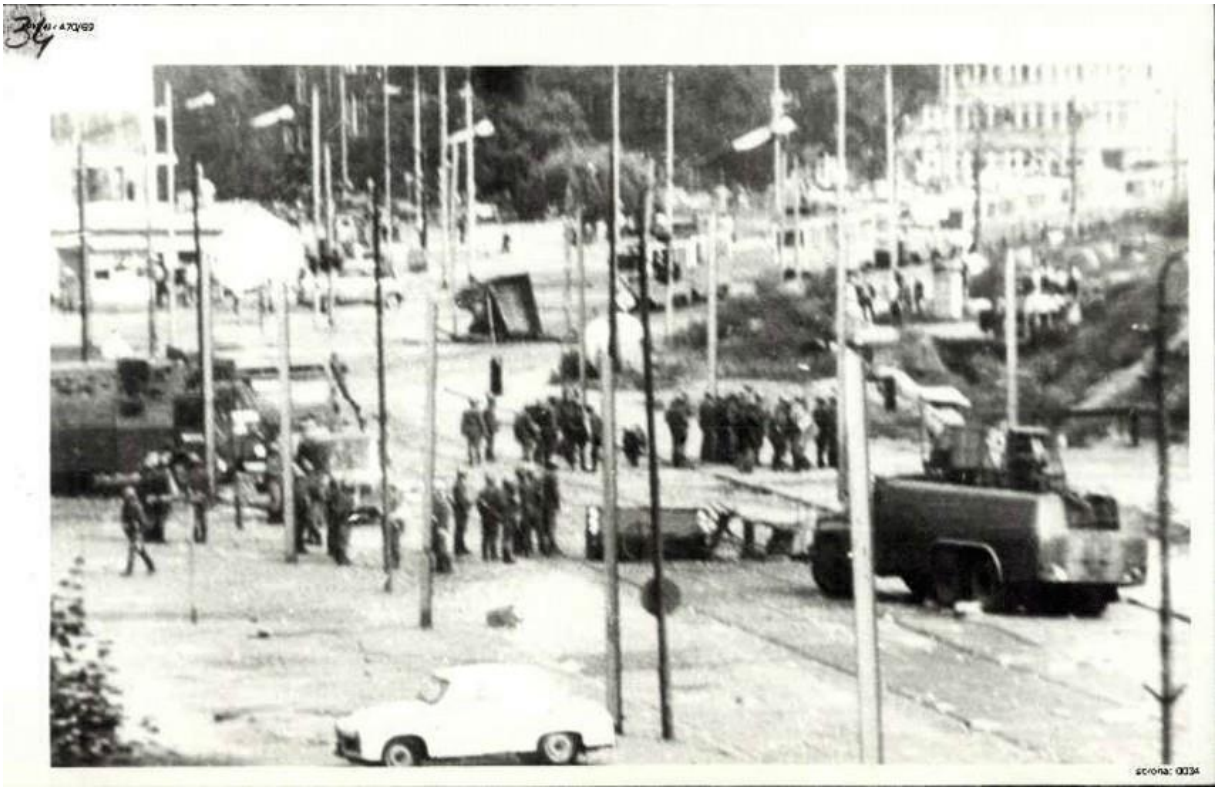

Zdj. Arch. IPN Wrocław. Ze zbiorów Ireny Dylawerskiej.

Andrzej Chełchowski

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miał 24 lata,
mieszkał we Wrocławiu i pracował na stadionie AZS Politechniki Wrocławskiej.

To była niedziela, było bardzo zimno, śnieg na ulicy. Udałem się do pracy, pomimo że była niedziela, tylko z tego powodu, że miałem w naprawie sześć telewizorów. Klienci mieli je odebrać przed świętami. Czekałem na autobus, jeden nie przyjechał, kolejny też nie przyjechał i kolejny też. Zdecydowałem się wyruszyć w drogę pieszo. Ulice puste, wydawało się być normalne, ponieważ to niedzielny poranek. Przeszedłem ładny kawałek drogi w śnieżycy i dotarłem do pracy. Włączam jeden z tych naprawionych telewizorów, a tam szum, brak treści. Wcześniej działał, wszystkie były już naprawione. Drugi to samo, trzeci to samo, ostatni także. Załamanie, dlaczego tak się stało? Próbuję znaleźć usterkę i w tym momencie schodzi koleżanka z takiej małej portierni w budynku i mówi, że telewizor się zepsuł! Nikt nie wiedział dlaczego tak się działo do momentu, w którym pojawił się generał Jaruzelski i ogłosił stan wojenny. Wszyscy się bardzo zdziwili, nikt nie wiedział o co chodzi.

Niczego się nie baliśmy. Trzynastego ogłoszono stan wojenny, a trzydziestego pierwszego zrobiliśmy sylwestra na stadionie na 100 osób mimo, że to było zabronione.

Na obrzeżach miasta były rogatki, jak ktoś wyjeżdżał autem, wojsko stało czasami razem z milicją. Zatrzymywali wyrywkowo, sprawdzali co ludzie wiozą, bo wiadomo, że każdy sobie dawał radę. To świnkę sobie kupił, to kurki, ludzie po prostu sobie potrafili poradzić w najgorszej biedzie. Niektórzy zatrzymywali do kontroli, niektórzy nie. Niektórzy coś chcieli, to im się dawało i można było spokojnie przejechać. W pociągach i w autobusach raczej to nie miało większego znaczenia. Nie odczuwało się tego tak, jak na drogach wylotowych z miasta.

Można opisać to bardzo prosto, jak sytuację z filmu. W „ Alternatywach 4” był taki motyw, kolejka na 300 m, jest godzina 6:00, otwierają sklep i stoi sobie pani na końcu kolejki, dochodzi do kasy, kupujecie 10 jaj, po czym wychodzi z tej kolejki. Znowu staje na końcu tej kolejki i znowu kupuje 10 jaj. To żartem oczywiście powiedziane na potrzeby filmu, ale rzeczywiście były takie sytuacje, że były reglamentowane sprzedaże. Ograniczano cukier, o mięsie to nie wspomnę. To było na zasadzie takiego szalonego rynku. Komu się udało ten miał, komu się nie udało, to musiał kombinować, a jak nie wykombinował to miał ciężkie życie. Natomiast razem ze stanem wojennym wprowadzono ustawę przeciwko tak zwanym spekulantom. Ten, który został złapany na gorącym uczynku, to odpowiadał karnie nawet do kary śmierci. Handlowano wszystkim. Ludzie kupowali na wsiach świnkę, świnkę oprawiali i przywozili mięsko do miasta i tu

sprzedawali drożej niż w sklepie. Sklepy też potrafiły robić to samo, bo mieli swoich ludzi, między innymi milicjantów. Wszystko było towarem reglamentowanym i wtedy spekulanci mieli spokój, kombinowali z różnych miejsc, cukier, mąkę, papierosy, wódkę, co było chodliwe. Natomiast sklepach zawsze można było kupić ocet, który okazał się niezbędnym produktem przy zakupie wódki, ponieważ aby kupić wódkę, należało mieć swoją butelkę.

Różnie, ile ludzi tyle różnych wersji. W rodzinach potrafili się nie dogadać, bo jedni byli po stronie PRL-owskiej , a drudzy po przeciwnej. No i bywało różnie, nieraz dochodziło tam do takich dantejskich scen, że głowa boli. Ojciec wyrzekał się syna, bo ten był w ZOMO, milicji bądź wojsku. Było różnie, chociaż co do wojska, to ludzie nie mieli większych zastrzeżeń, wręcz odwrotnie. Na rogatkach przywozili coś ciepłego do jedzenia i tak się dogadywali. Już z zomowcami nie za bardzo, ale to było celowe działanie. Wiadomo, jak lubią się poznaniacy z wrocławianami, więc robiono wymiany. Milicjanci z Poznania przyjeżdżali do Wrocławia, a ci z Wrocławia jechali do Poznania. Bywało różnie, ale żeby było jasne, jeżeli ktoś nie podpadł, to pałką nie obrywał. To jest nieprawda, że kogoś łapano w ciemnej ulicy i go bito. Ktoś musiał po prostu podpaść, zasłużyć sobie i wtedy niestety były poszkodowany.

Zdj. Arch. IPN Wrocław. Ze zbiorów Ireny Dylawerskiej.

Ryszarda Szerłomska
w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 25 lat, mieszkała w Żywcu.

Stan wojenny zastał mnie z rodziną w autobusie, kiedy jechaliśmy na wieś, około 5 rano 13 grudnia. Wsiedliśmy do autobusu i w pewnym momencie kierowca puścił radio i Wojciech Jaruzelski zaczął przemawiać. Powiedział, że został wprowadzony stan wojenny. Ja nawet nie wiedziałam za bardzo co to jest, ale moja mama się przestraszyła. Ludzie w autobusie zaczęli płakać, bo nie wiedzieli co się dzieje. Kiedy dojechaliśmy do Krakowa okazało się, że wszystkie autobusy były poodwoływane. Na szczęście ktoś zgodził się nas zabrać, bo zobaczył, że byłam z małym dzieckiem.
Wtedy moja mama opiekowała się moją córką bo nie dostaliśmy miejsca w żłobku. Żeby dojechać do niej, do innego województwa, trzeba było iść do urzędu po odpowiednie zaświadczenie.
W gminie nic się za bardzo nie działo, oprócz tego, że trzeba było przestrzegać godziny milicyjnej. Chyba, że było się działaczem, bo wtedy działała na przykład Solidarność i mój kolega, który był w tej organizacji nawet nie spał w swoim domu, bo bał się interwencji. Pamiętam, że trzeba było wstawać o trzeciej rano i iść do sklepu, ustawić się w kolejce, żeby zrealizować kartki. I tak bywało, że nie zawsze się dostawało to, po co się szło. Czasem dostawało się ledwo połowę tego, co chciało się kupić. Na szczęście mój tata miał małą farmę, przez co mieliśmy dodatkowe mięso. Jednak nadal trzeba było z tym uważać, bo mogły być za to wlepiane mandaty.

Zdj. Milicjanci podczas kontroli drogowej w okresie stanu wojennego.
Ze zbiorów wrocławskiego oddziału IPN.

Teresa Kubisiak

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 25 lat,
mieszkała we wsi Drobnice (gmina Osjaków).

O stanie wojennym dowiedzieliśmy się z telewizji. Generał Wojciech Jaruzelski wystąpił i ogłosił, że w Polsce nastąpił stan wojenny. Co do odczuć, to na pewno zaskoczenie i strach. Co mieliśmy zrobić? – nic. Każdy w wielkim strachu, z niepokojem czekał na rozwój dalszych spraw. Baliśmy się wojny, bo nasi rodzice wojnę przeżyli przecież. Ludzie byli wystraszeni, pogubieni, ale się szanowali. Szacunek jeden do drugiego miał. Jeden drugiemu pomagał, jak coś było trzeba. Nie było zawiści.

Mój brat pracował w kopalni. Jak wybuchł stan wojenny i były strajki, to wrócili rano z pracy, bo oni i jego współpracownicy mieszkali w hotelu i poszli spać. Wtedy wpadło ZOMO, drzwi otwierali i bili ich. Który zdążył uciec, to uciekł, a oni stali na dworze w mrozie pod budynkiem. Wiele osób wyskakiwało przez okno. Nawet nasz sąsiad po skoku miał ręce i nogi połamane. Brat wrócił do domu w wigilię po 22.00.

Zdj. Karykatura z broszury „Stan wojenny jest stanem antywojennym...”
wydanej w drugim obiegu. Zbiory wrocławskiego oddziału IPN.

Iwona Majchrzak-Krzywda
w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 26 lat,
mieszkała we Wrocławiu na Szczepinie.

Pracowałam w byłych już zakładach mięsnych przy ulicy Legnickiej, rozliczając konwojentów, a później w tych samych zakładach w ośrodku informatyki. O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałam się Tego dnia rano zamiast zwykłych programów, w tym chyba najbardziej rozpoznawalnego „Teleranka", w telewizji można było jedynie usłyszeć przemówienie generała Jaruzelskiego o wprowadzeniu stanu wojennego na terytorium Polski. Czułam przede wszystkim strach, niepewność, bałam się o swoją przyszłość, nie tylko tą daleką, ale chociażby o to, czy będę miała możliwość kupienia jedzenia dla mojego dziecka. Byłam zagubiona, nie wiedziałam dlaczego czołgi wyjechały na ulice, martwiłam się o to, jak dalej rozwinie się sytuacja w kraju. Nie wiedziałam czy grozi nam wojna. Martwiłam się o siebie i swoich bliskich, ponieważ w tamtym czasie niczego właściwie nie można było być pewnym.

Właściwie można by rzec, że sklep był sklepem tylko z nazwy, ponieważ nie było tam towarów, które powinny być dostępne. Przede wszystkim nie było żywności. W sklepach spożywczych na półkach stał tylko ocet, który niestety nie nadawał się do niczego innego niż robienie przetworów na zimę. Chleb był sprzedawany z wozów. Mięsa, wędliny, jajka, artykuły pierwszej potrzeby, na przykład papier toaletowy, praktycznie nie były dostępne. Na tak podstawowe rzeczy trzeba było "polować", stać po kilka godzin w ogromnych kolejkach i zapisywać się w komitety kolejkowe. Funkcjonowały wtedy również kartki na żywność, które umożliwiały zakup na przykład mięsa, cukru, kawy czy nawet ubranek dla dzieci. Dużą pomocą były paczki przysyłane z zachodu do Polski, jednak nie wszyscy je otrzymywali.

Komitety kolejkowe czy listy kolejkowe to były porozumienia między „kolejkowiczami", osobami stojącymi w kolejkach. Polegały na przykład na zajmowaniu sobie miejsc w kolejce, zawieraniu umów czy wpisywaniu się na listy. Chcąc kupić coś bardziej ekskluzywnego, czyli na przykład meble, odkurzacz czy pralkę, też trzeba było zapisać się na listę. Często też ludzie w kolejkach poznawali się i zawierali przyjaźnie.

Zazwyczaj na placach handlowych, na których ludzie sprzedawali niepotrzebne im ubrania albo takie, które dostali z paczek. Jeżeli miało się szczęście, to nawet kościół mógł poratować tym, co księża dostali w paczkach. Było również coś takiego jak towary wymienne, a największy popyt wśród takich towarów miały alkohol i papierosy, które z resztą też były na kartki.

Jest takie zdarzenie, które dobrze zapamiętałam. Kiedyś poszłam do sklepu po coś do jedzenia dla mojego syna i udało mi się kupić kurczaka w sklepie, który był nieco

oddalony od mojego miejsca zamieszkania. Wracając do domu, niestety wpadłam w tak zwaną obławę, którą zorganizowali funkcjonariusze ZOMO, goniąc jakiegoś człowieka. Nie wiem co zrobił ten człowiek, ale był za nim pościg. Zomowcy byli w pełnym uzbrojeniu, z przyłbicami, z tarczami, z bronią. Nie wiedziałam co się działo, ale wpadłam w tłum ludzi, których oni osaczyli. Biegałam z siatką z kurczakiem szukając drogi ucieczki, ale na próżno, bo niedaleko stały wozy opancerzone. Udało mi się jednak uciec w bramę i w akcie strachu i desperacji zaczęłam odgrażać się moją torbą z kurczakiem zomowcom. Nie wiedziałam przecież co się będzie działo, ale nie można się było tak po prostu poddać.

Zdj. Tadeusz Szwed.
Fotoreporter tak podpisał to zdjęcie: „Za takie zakupy można spodziewać się pochwały w domu". Wrocław, rok 1985.
Źródło: https://gazetawroclawska.pl/zobacz-jak-robiono-zakupy-w-czasach-prl-duzo-archiwalnych-zdjec/ga/c13-9429250/zd/17081548

Janina Błoniarz

W czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 27 lat, mieszkała we Wrocławiu i pracowała w Zakładach Techniki Medycznej.

Tego dnia jechaliśmy rano z dziećmi do Piwnicy Świdnickiej, gdzie miała się odbyć impreza mikołajkowa dla dzieci. Mieszkałam koło jednostki wojskowej. W drodze widzieliśmy pełno wojska i zastanawialiśmy się ,co to może oznaczać. Okazuje się, że przyjęcie odwołano, bo jest stan wojenny. Poczuliśmy wtedy strach, przerażenie, że może nadejść wojna.

Ludzie wykupowali wszystko co było w sklepach: kasze, mąki itp. Wszystko zniknęło z półek, później był już tylko sam ocet. Godzina policyjna trwała od 22.00 do 6.00 rano. Nie można było się z nikim kontaktować, bo telefony były wyłączone. Chodziłam normalnie w dzień do pracy, ale ludzie bali się nawet wyjść z psem na dwór podczas godzimy milicyjnej. Były ograniczenia, nie było kin, teatrów. Mój syn miał wtedy 5 lat i chodził do przedszkola. Ludzie mogli podróżować tylko z przepustką, więc na święta do swoich rodzin mogły jeździć tylko osoby, które posiadały taki dokument. Sytuacja w sklepach nie była najlepsza. Wprowadzili kartki, najpierw były na cukier, później na mięso, ubrania. Większość produktów spisywano na kartki. Gdy była dostawa do sklepów, ludzie potrafili stać całą noc lub nawet tydzień. Były umawiane kolejki, dyżury w nocy, żeby nikt nie wszedł w kolejkę. Każdy pilnował kolejki, bo spisywali ludzi na specjalną listę. Kiedy był jakikolwiek towar, to otrzymywało np. tylko 10 osób z kolejki. Reszta, stojąc przez ten tydzień, już nie dostała, gdyż były małe dostawy do sklepów. Ludzie, którzy strajkowali, byli aresztowani, zamykani i torturowani. Spotykaliśmy się tylko w najbliższym gronie, ponieważ większe skupiska ludzi były zabronione. Ciężkie to były czasy, ale cieszę się, że dzisiaj mogę znowu żyć szczęśliwie i spokojnie.

Zdj. Mariusz Czułczyński, rok 1981. Sprzedawcy nie narzekali na nawał pracy...

Weronika Suchecka

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 27 lat, mieszkała z mężem i dzieckiem we Wrocławiu, pracowała w szkole.

Mój mąż był wtedy milicjantem, więc miał wiadomości z pierwszej ręki. Poza tym mówiono o tym w telewizji. Byłam przerażona, ponieważ miałam małe dziecko, a sytuacja nie wyglądała ciekawie. Bardzo się bałam, przede wszystkim o moją rodzinę i mojego męża z racji wykonywanego przez niego zawodu, ale nie mogłam za wiele zrobić. Z niepokojem czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Czułam duży strach, który towarzyszył mi aż do końca tej nadzwyczajnej sytuacji. Bałam się, że mój mąż wyjdzie i już nie wróci, a nasze dziecko będzie wychowywało się bez ojca. Bałam się, że nie damy sobie rady. Wszystkiego się bałam.

Mąż pracował w milicji i nie było go w domu. Byliśmy w bardzo trudnej sytuacji biorąc pod uwagę jego pracę. To był bardzo dobry człowiek i nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Zawsze bronił i chronił ludzi, ale wiadomo jak wtedy patrzyli na „takich". Wychodząc z mieszkania z dzieckiem na dwór zobaczyłam na drzwiach wejściowych narysowaną szubienicę i podpis „to czeka nas wszystkich". Bardzo się wystraszyłam, zadzwoniłam do męża, że coś takiego na naszych drzwiach zostało namalowane, no i od tego momentu, ten strach, który miałam wcześniej jeszcze bardziej się spotęgował. Przestałam prawie wychodzić z domu, a jak już to tylko w określonych godzinach. Były t straszne i bardzo przykre sytuacje. Nastawienie ludzi do wojska i milicji było bardzo negatywne, jak widać czasem nawet skrajnie negatywne. W związku z tym, że byłam żoną funkcjonariusza też byłam wrogiem publicznym i bałam się reakcji ludzi, którzy mnie otaczali, bo nie wiedziałam kogo na co jest stać. Przestałam wierzyć ludziom i obawiałam się, że mogą nastąpić kolejne nieprzewidywalne w skutkach sytuacje, sytuacje groźne, bardzo przykre dla mnie, mojego dziecka i całej mojej rodziny.

Człowiek żył w ciągłym lęku, bał się, co będzie jutro. Nie mógł sobie niczego zaplanować, nigdzie nie wyjeżdżał, nie wychodził z domu i nie spotykał się ze znajomymi. Po ulicach chodziło wojsko i milicja. Chodziło się tylko do sklepu i to tylko po artykuły pierwszej potrzeby. Dzieci normalnie chodziły do szkoły. Raczej nie przeżywały tego tak jak dorośli, bo nie zdawały sobie sprawy z czym wiąże się stan wojenny. Na pewno były jakoś pouczane przez rodziców, że mają być ostrożne, że po szkole od razu mają wracać do domu, że nie mają nigdzie chodzić. Większość czasu zamiast np. na boisku z rówieśnikami, spędzały w domu.

Raczej się nie podróżowało. Zamknięci byliśmy w swoich domach. Przynajmniej ja ani moja rodzina nie podróżowaliśmy w tym czasie, bo każdy się bał. Nie było wiadomo, co może się stać w innej miejscowości. Były różne grupy, które buntowały się przeciwko władzy, odbywały się demonstracje i wszędzie było dużo milicji i wojska. Sytuacja jaka wtedy panowała była zbyt niebezpieczna i w związku z tym podróże były ograniczane do minimum. Tylko ten, kto musiał gdzieś wyjechać to wyjeżdżał, a reszta raczej starała się spędzać czas w swoim domu i nie narażać się. Ci co wyjeżdżali, musieli mieć przepustki

od władz, żeby opuścić swoją rodzinną miejscowość. Na święta też bywało różnie. Osoby, które mieszkały gdzieś dalej, to raczej nie przyjeżdżały na święta.

Mogę spokojnie powiedzieć, że w sklepach było tragicznie. Nie było towaru, nie było niczego. Ludzie wstawali po nocach żeby zająć kolejkę nie wiedząc czy uda się coś kupić, czy towar będzie i jaki towar będzie. Stało się w kolejkach tylko po to, by cokolwiek dostać. Towary przychodziły do sklepów w małych ilościach. Niekiedy większość kolejki nie dostawała nic. W sklepach nie było niczego oprócz papieru toaletowego i octu, inne towary były rzadkością i trzeba było naprawdę dużo wysiłku i czasu, żeby coś kupić. Jak miało przyjść coś lepszego np. masło, kawa, czy czekolada, to pod sklepami już po północy gromadziły się tłumy ludzi. Rzadko kiedy można było kupić cukier, wędlinę czy proszek do prania. To były rarytasy. Wprowadzono kartki na jedzenie. Każdy miał prawo kupić wyliczoną ilość pod warunkiem, że coś dostał. Żyło się naprawdę ciężko, a jak nie było niczego w sklepach to wiadomo, że przygotowywanie posiłków stanowiło problem. Bo po prostu nie było z czego.

Ludzie się bali siebie nawzajem, mieszkając w bloku zaobserwowałam, że nawet pomiędzy sąsiadami były stosunki bardzo oziębłe, nie rozmawiano na temat panującej sytuacji, bo nikt nie wiedział, co ta druga osoba myśli. Jeden bał się drugiego. Wyczuwało się duży dystans między ludźmi. Rozmowy ograniczały się do „dzień dobry i do widzenia". W ludziach narastała zawiść i nienawiść jednego do drugiego, bo temu się udało coś kupić, zgromadzić trochę zapasów, a drugiemu nie. Więc wynikały takie nieprzyjemne sytuacje, że jeden drugiemu wypominał, dookoła słychać było kłótnie i pretensje. Strach dominował. Wieczorem człowiek nie wychodził z domu. Było bardzo niebezpiecznie, każdy był zamknięty w sobie, ograniczał się tylko do relacji i rozmów tylko w obrębie własnej rodziny, nie wnikał w dyskusję między innymi. Człowiek stawał się dziki, nasłuchiwał tylko, czy ktoś nie puka do drzwi z jakimś zarzutem.

Fot. Wojciech Wilczyński, https://gazetawroclawska.pl/z-archiwum-wroclawskie-zakupy-w-prl-zdjecia/ga/397431/zd/547023

Bożena Dziaszek
w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 27 lat
mieszkała we Wrocławiu i wychowywała półroczne dziecko.

O stanie wojennym dowiedziałam się z telewizji, bo Wojciech Jaruzelski ogłosił, że wprowadza stan wojenny z dniem trzynastego grudnia. W tamtym momencie pamiętam, że czułam niepokój, bałam się również o męża, który tego dnia wracał z dziećmi od rodziców pieszo, ponieważ nie było żadnej komunikacji. Pamiętam, że bałam się tego, jak to wszystko będzie teraz wyglądać. Bałam się o prace i o to czy będę miała za co wyżywić rodzinę.

Na pewno zaostrzone były restrykcję, wprowadzona została godzina milicyjna i specjalne przepustki, które umożliwiały poruszanie się podczas tych godzin. Jeżeli poruszałeś się w tym czasie, to zatrzymywali cię i sprawdzali te specjalne przepustki. Zabronione zostało wywożenie ze wsi chabaniny, sprawdzali samochody i bagażniki.

Jedzenie jak już było w klepach, to wisiało na specjalnych hakach na ścianie. Ludzie stali już w nocy w kolejce do sklepu, zazwyczaj z taborecikami, czekając na jego otwarcie. Otworzyli sklep i dalej były puste haki, nie było wtedy żadnej gwarancji. Były karteczki na cukier, mąkę, ryż, papierosy, słodycze. Słodycze można było wymieniać na papierosy albo na odwrót, nie pamiętam dokładnie. Na wódkę był limit, jedna albo dwie butelki na miesiąc.

Zdj. Wiesław Dębicki /Gazeta Wrocławska, 1981, sklep mięsny na rogu Więckowskiego i Kościuszki.

Grażyna Kotkiewicz
w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 29 lat, mieszkała w Zgorzelcu.

Przede wszystkim były bardzo duże kolejki, w których ludzie stali godzinami, a nawet po nocach. Asortyment w sklepach był żaden, łatwo dostępna była tylko musztarda i ocet, tak to półki świeciły pustkami. Później zostały wprowadzone kartki na żywność. Ludzie wpisywali się na listy, tylko żeby móc kupić coś do jedzenia.

Gdy został wprowadzony stan wojenny, to była mroźna zima. Uzbrojone patrole chodziły po ulicach. Żołnierze ogrzewali się przy koksiakach - to były takie metalowe pojemniki, w których palono koks, aby się ogrzać. Niektóre osoby przynosiły im herbaty lub inne ciepłe napoje.
Ustalona została godzina policyjna. Poruszanie się po mieście było jedynie możliwe za pomocą odpowiedniej przepustki, gdy ktoś łamał te zasady ponosił karę, zazwyczaj zabierano taką osobę do więzienia.

Wojskowi, gdy był alarm, to musieli stawić się w jednostkach. Zabierali ich w środku nocy, tak właśnie było z moim bratem, ponieważ służył w wojsku. Mój tato akurat przeszedł na emeryturę, ale po Marka przyszli. I jak go zabrali w środku grudnia, to wrócił w styczniu tylko na moment, żeby zadeklarować się, że jest cały i nic mu nie jest. Ten okres był dla rodziny pełnym niepokoju, w końcu nie mieliśmy z nim żadnego kontaktu, bo telefony zostały odłączone.

Mojej bratowej siostra przyjechała do mnie i męża, żeby się spotkać. Trochę się zasiedzieliśmy i zaczęła się zbierać dopiero przed północą. Mieszkała tuż za rogiem, lecz ja nadal się o nią bałam. Stwierdziłam, że pójdę z nią chociaż kawałek. Ona miała przepustkę, bo się uczyła, ja natomiast nie. Gdy już rozeszłyśmy się w swoje strony, ja wracając zobaczyłam patrol. Zapytali się o moją przepustkę, niewiele myśląc odpowiedziałam, iż wyszłam z psem na spacer. Na poparcie swoich słów zaczęłam nawoływać imię białego psa mojej sąsiadki „Puszek!" krzyczałam „Puszek!" – policjanci jedynie zaczęli się śmiać. Musieli dostrzec mnie ze znajomą.
„Prze Pani proszę wrócić do domu i następnym razem niech Pani kupi tego Puszka" – odrzekł jeden z nich. Teraz z tego się śmieję, ale wtedy najadłam się strachu.

Jeśli chodzi o ocenę Jaruzelskiego, to zdania były podzielone. Ja osobiście uważam, że bardzo dobrze zrobił. Moim zdaniem, gdyby nie został wprowadzony, ruscy by weszli i rozpoczęłaby się wojna, co łączyłoby się z większym rozlewem krwi. Mój tato był zasłużonym generałem i zawsze mówił o nim dobrze. Jednak jego stosunek to członków solidarności był wręcz okrutny, czego z pewnością nie tolerowałam.

Teresa Serafin

w czasie prowadzenia stanu wojennego miała 30 lat, mieszkała w Ozorowicach, 20 km od Wrocławia wraz z teściami.

Dowiedziałam się, że jest stan wojenny, bo widziałam jak przez naszą okolice przejeżdżały czołgi wojskowe. Później słyszałam od sąsiadów i w telewizji ogłaszali, że będzie stan wojenny. No był trochę strach, bo to człowiek miał wyznaczoną godzinę policyjną, nie wolno mu było wychodzić tak jak się chciało. Wyznaczyli, że od tej do tej godziny jest wszystko pozamykane i człowiek siedział w domu.

Jeśli chodzi o podróżowanie… Nie było tak dużo tych podróży, a autobus jechał jeden czy dwa przez okolice do miasta, do pracy. Tak nie było komunikacji. Ludzie się poruszali rowerami, również jak gdzieś dojeżdżali niedaleko.

W sklepach również nie było dużo, było po prostu wydzielone, na przykład papier toaletowy, wydzielali papierosy. Stałam w kolejce, ale nie dali tak jak teraz 8 czy 6 rolek w paczce. Dali dwie, a jak stanęłam drugi raz w kolejce to mówili: „nie, ja już panią poznałam, już pani drugi raz nie dostanie". Później wprowadzili też kartki i na tych kartkach było po pół kilo. Trochę było tego, czy tego, nie było nadmiaru, a to co było na cały miesiąc musiało starczyć.

Trudno było mieszkanie dostać i trzeba było starać się o nie. Na wsi ludzie sobie pomagali, bo robili budynek i pracowali wspólnie. Po pracy pomagali, żeby można było gdzieś mieszkać. My dostaliśmy mieszkanie, bo wzięliśmy starszego pana pod opiekę. Powiedział, że będzie mieszkanie, no i mąż się tam się zameldował. Po jakimś czasie, kiedy mąż chciał coś w nim zrobić, to było zaplombowane. Jak się dowiedział, to po prostu tam już kogoś przydzielili i tam mieszkało małżeństwo. Zrezygnowaliśmy z niego, bo przecież dwa małżeństwa w jednym mieszkaniu nie będą mieszkać. Później budowali mieszkania we Wrocławiu, te w których teraz mieszkamy. Ludzie pomagali i było szybciej. Losowaliśmy nawet numer mieszkania. Mój mąż, czyli Twój dziadek pracował we Wrocławiu jako kierowca. Szykował mieszkanie, w którym mieliśmy zamieszkać. Miałam już wtedy dwoje dzieci – Twoją mamę i wujka Rafała. W stanie wojennym to ja miałam 30 lat, wychowywałam dzieci, później po jakimś czasie pracowałam.

Na początku prałam rzeczy na tarce, ale później kupiliśmy franię. Chcąc kupić taką pralkę, to trzeba było w nocy stać w kolejce, dużo wcześniej przed otwarciem sklepu, żeby po prostu ją kupić. Kiedy frania weszła do sprzedaży, to dużo ludzi o nią zabiegało i nie każdy miał pralkę w domu, zdarzało się, że szło się do sąsiada żeby zrobić prania. A ja miałam franię, zdobyłam ją. Inni nie dostali, choć czekali po trzy miesiące, nieraz dłużej. Tak samo czekało się na meble, stało się w kolejkach, ludzie zapisywali się na listy. A później przed domem stał tylko jeden samochód - syrenka. A jeśli chodzi o telefony, to też nie było tak prosto, bo np. wysyłało się telegram jak ktoś zmarł. Telefonów tak nie było w tamtych czasach. Jak trzeba było gdzieś dzwonić, to się chodziło na wsi do kogoś,

kto ten telefon miał. Pamiętam, że za to u dziadka inni oglądali telewizor, sąsiedzi przychodzili, bo też nie wszyscy mieli telewizor. Przed drzwiami do domu były ułożone buty w taką kolejkę. Ludzie oglądali film, dziennik, boks.

Zdj. SDH Feniks przy Rynku, Tadeusz Szwed.

Małgorzata
w czasie stanu wojennego miała 30 lat,
mieszkała w rodzinnej wiosce wraz z mężem.

O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałam się od mojej sąsiadki. Gdy rano zadzwoniła i przekazała mi tę wiadomość, byłam zaskoczona i jednocześnie przerażona. Nie wiedziałam jak będzie wyglądać teraz moje życie. Od momentu wprowadzenia stanu wojennego raczej żyło się normalnie. Może wszyscy byli bardziej ostrożni, nie spotykano się i nikt nie wyjeżdżał za granicę. Nawet na święta rodzina się nie spotykała się, z wyjątkiem rodzin, które mieszkały w jednej miejscowości czy na jednej wsi. W sklepach było ewidentnie bardzo słabe zaopatrzenie. Nie starczało towaru, były duże kolejki, przez co tworzyły się konflikty międzyludzkie. Każda osoba chciała jako pierwsza kupić towar, żeby go starczyło i dochodziło do bójek. Ludzie podchodzili do wszystkiego z dystansem, niby wspierali się, ale jednocześnie bali się, że powiedzą komuś coś, co będzie wykorzystane przeciwko nim.

Maria

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 30 lat, mieszkała we Wrocławiu, nie pracowała i wychowywała dzieci.

O stanie wojennym dowiedziałam się z informacji telewizyjnej generała Jaruzelskiego. Byłam zaniepokojona obecną sytuacją i jej skutkami. Ponieważ była wtedy niedziela, pozostałam w domu z rodziną i oczekiwałam dalszych informacji z telewizji. Obawiałam się, czy wprowadzony stan wojenny nie doprowadzi do rozlewu krwi. W pierwszych dniach po wprowadzeniu stanu wojennego na ulicy pojawiło się wielu żołnierzy, zwłaszcza w okolicach zakładów pracy, które były patrolowane również przez helikoptery. Wprowadzono zakaz przebywania w miejscach publicznych w godzinach od 22.00 do 6.00 rano oraz zakazano zgromadzeń.

Z tego co pamiętam, przez jakiś czas dzieci nie chodziły do szkoły, później nauka odbywała się już normalnie. Na początku stanu wojennego obowiązywał zakaz przemieszczania się między miastami i uniemożliwiało to spotkania z rodziną. W kwietniu 82 roku zmarł mój brat. W pogrzebie uczestniczyła rodzina z Lubinia oraz Słupska, ale aby móc uczestniczyć w pogrzebie, musieli uzyskać stosowne pozwolenie na przyjazd do Wrocławia.

Pamiętam, że kiedyś wracając do domu zobaczyłam milicjantów, którzy otoczyli nasz budynek i zostałam przez nich wylegitymowana. Zostałam doprowadzona do naszego mieszkania znajdującego się na 11 piętrze, po czym poddano mnie i moją rodzinę szczegółowemu przesłuchaniu. W trakcie przesłuchania inni milicjanci, ubrani po cywilnemu, poprosili nas o udostępnienie radiomagnetofonu oraz wszystkich kaset magnetofonowych. Oświadczyli, że na piętrze wyżej zlikwidowano radiostacje, która nadawała jakieś programy, a dwóch naszych sąsiadów zostało zatrzymanych. Jeden z nich jako podejrzany o obsługiwanie radiostacji, u drugiego zaś znaleziono rekonstrukcje strzelb. Po dwóch godzinach wyrywkowego odtwarzania kaset nie postawiono nam żadnych zarzutów, ale nakazano nieopuszczanie miejsca zamieszkania do wyjaśnienia tej sprawy.

W tym okresie w sklepach obowiązywał system kartkowy na artykuły spożywcze i tekstylia. Kartki na mięso upoważniały do zakupu 2,5 kilograma na każde dziecko i na osobę dorosłą niepracującą fizycznie. Ta ilość mięsa w zupełności pokrywała potrzeby mojej rodziny. W kolejkach po mięso stało się, gdy chciało się kupić lepszy gatunek mięsa, np. schab czy szynkę. Z uwagi na to, że byłam osobą niepracującą, ja i moje koleżanki opiekujące się dziećmi, stałyśmy w kolejce na zmianę.

Dorota,
w czasie wprowadzeni stanu wojennego miała 30 lat, mieszkała w centrum Wrocławia i pracowała w biurze.

Stoisko z wędlinami w PDT Centrum, fot. Tadeusz Szwed / Gazeta Wrocławska

Dowiedziałam się o wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy rano odprowadzałam twoją mamę do przedszkola. Wtedy zobaczyłam jadące główną ulicą czołgi. Zaprowadziłam dziecko do przedszkola i pobiegłam przerażona do pracy. Byłam zdenerwowana, czułam obawy, strach. Bałam się całej sytuacji, ponieważ groziło to wojną. Wtedy wszyscy ludzie byli przestraszni. Bali się wychodzić z domów. Została wprowadzona godzina policyjna. Były ograniczone spotkania rodzinne, nawet w święta. Ludzie bardzo rzadko się spotykali. W sklepach były pustki. Ludzie kłócili się podczas stania w kolejkach. Staliśmy godzinami w kolejce po produkty spożywcze.

Relacje międzyludzkie były różne. Jedni byli za stanem wojennym, a drudzy byli przeciwko stanu wojennemu. Nie rozmawiałam z ludźmi. Jedynie spędzałam czas z twoją mamą i rodzicami w domu. Wojsko, milicja stale chodzili po ulicach, pilnowali porządku. Najbardziej utknął mi w pamięci widok czołgów jadących po ulicy. Stałam za meblami z twoim pradziadkiem całą noc. W tamtym czasie wszystko było na kartki. Kupowało się jedzenie na przydział, na kartkę. Był to bardzo smutny czas, ponieważ nic praktycznie nie robiłam tylko pracowałam. Twoja prababcia i pradziadek mieli kupione bilety na samolot do Nowego Yorku, ale przez stan wojenny musieli zrezygnować i stracili część pieniędzy. Twoja prababcia pracowała w sklepie z ubraniami. Jak przyszedł towar, to ludzie ustawiali się w kolejkach pod sklepem. Mieliśmy o tyle dobrze, że mieliśmy wszystko jako pierwsi z ubrań.

Stanisław Kawa

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miał 32 lata, mieszkał we Wrocławiu i pracował na Politechnice Wrocławskiej.

Na początku nie mogłem uwierzyć. O tym stanie wojennym powiedział w telewizji Jaruzelski. Jak dobrze pamiętam orzeł był przekręcony. Wewnętrznie czułem ogromny żal, nie wiedziałem jak się zachować, co dalej z nami będzie, to było bardzo niespodziewane. Nie mogliśmy zrozumieć tego, jak Polak Polakowi może zrobić taką krzywdę. Pamiętam twoją babcię jak była załamana całą tą sytuacją, gdy ludzie zaczęli mówić, że milicjanci wywożą innych i chodzą po domach. Dochodziły takie słuchy przez związek Solidarności, który wcześniej zrobiliśmy.

Gdy dowiedziałem się, że jest stan wojenny, to poszedłem pod zajezdnię i wtedy tam się ludzie zbierali i na początku tylko stali, ale ja tam nerwowo nie wytrzymałem, zacząłem tam ludzi buntować do zamieszek, ale ludzie byli na początku ospali. Ktoś z tyłu przez plecy uderzył mnie pałką, do teraz nie wiem kto to był. Wróciłem do domu, a potem poszedłem na politechnikę. Wprowadzili tam już stan wojenny. Zrobiliśmy zebranie i przegłosowaliśmy, że będziemy strajkowali. Wyprowadzili nas do innego pomieszczenia, a pracowałem w budynku D2. Gdy przyjechał, chyba Frasyniuk, kazali nam zabrać swoje rzeczy. Bardzo nie chciałem wyjść, jednak wiedziałem, że nie jestem w stanie nic zrobić. Poszedłem do domu, ale jako młody człowiek chętny do walki ruszyłem na Plac Grunwaldzki. Później brałem udział w marszu na cmentarzu na Bujwida, nie zaatakowali nas. Pomagałem z kolegami córce Frasyniuka, zbieraliśmy pieniądze na jej komunię. 13 grudnia zawsze chodziłem na mszę, a co niedziele chodziłem do kościoła na Krzykach na godz. 10.00 lub 11.00. Brałem udział w protestach, przez to aresztowali mnie i zawieźli na ulicę Grunwaldzką. Tam wpuścili mnie do sali pełnej ludzi, chyba było nas około 40 osób. Przetrzymywali nas dosyć długo, ale pod wieczór wypuścili. Gdy udałem się na plac Solny, aresztowali mnie po raz kolejny. Udzielałem się w różnych manifestacjach. Rozrzucaliśmy rolki papieru i podawaliśmy je ludziom. Mieliśmy wiarę i nie chcieliśmy się poddać.

W czasie gdy ja chodziłem na manifestacje, twoja babcia pisała na maszynie ulotki, które roznosiliśmy wieczorami po klatkach. Nie chciałem iść do wojska, więc prosiłem dzielnicowego, by mnie tam nie zabierał. Twoja babcia w trosce o mnie skłamała, że ja pije i jestem alkoholikiem, ale to nie przeszło. Informacja poszła na komisariat i zostało udowodnione, że nigdy nie byłem na izbie wytrzeźwień, zatem nie jestem alkoholikiem. Trochę jako młody człowiek rozrabiałem, dlatego wypuścili mnie na ulice i zostałem pod obserwacją. Po niedługim czasie musiałem wyjść, bo miałem budowę i chodziłem do południa wyrabiać cegłę.

Każdego 13 dnia miesiąca chodziliśmy do katedry na mszę za ojczyznę, było bardzo dużo ludzi, a milicja nas obserwowała. Dużo milicjantów wyglądało jak cywile i w ten sposób niektórych wyłapywali, musieliśmy być bardzo ostrożni. Co niedziele chodziłem też do kościoła, chyba na ulicę Przodowników Pracy, gdzie pojawiał się Józef Pinior. W pamięć zapadło mi to jak ,,bawiłem'' się z milicjantami, bo koło sklepu monopolowego chcieli mnie złapać, ale ja szybko wszedłem na takie garaże na podwórku, wskoczyłem na dach i oni już nie wskoczyli za mną. Z drugiej strony podjechał ich samochód. Schodząc z tych garaży skręciłem sobie kostkę, ale podszedł do mnie jakiś mężczyzna wziął mnie i zaprowadził do jakiegoś pomieszczenia.

Chodziliśmy też na zakazane występy, gdzie występowali artyści w kościołach, po kryjomu, by ten naród podtrzymać na duchu. Zbierałem dużo ulotek z tego czasu, miałem je wszystkie w skrytce w pracy , ale gdy mnie zwolnili z pracy, to musiałem oddać klucze. Chyba ktoś to wyrzucił na śmieci, ale szczerze mówiąc nie wiem co się z tym stało. W nocy drukowałem ulotki z Jankiem. Dałem mu tam też maszynę do pisania, żeby drukowali, ale na większą skalę. Dostałem parę ,,pałek'' i kilka razy byłem oblany wodą. Kiedyś byłem szczupły i sprytny, to im uciekałem, gdy próbowali mnie łapać. Spaliliśmy jeden gazik. Będąc na placu Solnym widziałem jak przejechali jednego chłopaka, to zawieźliśmy go do szpitala na Pierwszego Maja. Nie wiem co z nim było dalej. Zbieraliśmy się też w podziemnym przejściu na Świdnickiej, prowadził nas Major, więcej nie pamiętam.

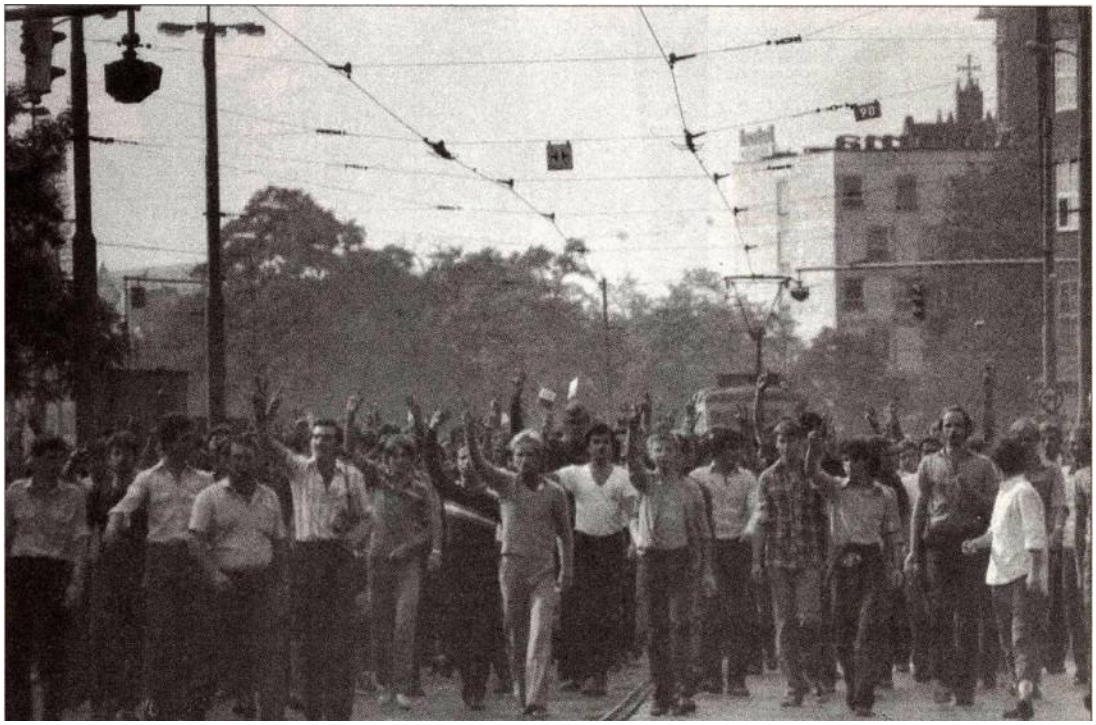

Zdj. Demonstranci na pl. Dzierżyńskiego (dziś Dominikański), 31.08.1982 r.
Źródło: fotopolska.eu/kavikvs

Wanda Jackowiak

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 32 lata, mieszkała w Radwanicach koło Wrocławia i była na urlopie wychowawczym.

O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałam się z telewizji. Dzieci po włączeniu telewizora, powiedziały mi o tym, że nie ma „Teleranka". Po chwili wystąpił wojskowy, który poinformował o stanie wojennym. Poczułam wtedy niepokój, a następnie szukałam w radiu dalszych informacji. Bałam się tego, że będzie wojna. Nie było komunikacji, ludzie jeździli do pracy na rowerach lub chodzili pieszo, na granicach miasta stało wojsko, które przeprowadzało kontrolę. Od 22.00 do 6.00 rano obowiązywała godzina milicyjna, podczas której nie można było wychodzić z domu. Nauka w szkole była w tym czasie zawieszona, dzieci nie chodziły do szkoły. Aby móc pojechać do innej miejscowości, trzeba było mieć zgodę na piśmie od wójta gminy. Rodzina nie odwiedzała się na święta, a tak właściwie to życie rodzinne zamarło.

Przede wszystkim w sklepach brakowało towarów, a gdy były dostawy towarów, to były ich bardzo małe ilości. Zdarzało się, że stałam na mrozie, na dworze w kolejce do sklepu, nawet ponad dwie godziny, a gdy doszłam w końcu, do lady, to nie było już żadnego towaru, bo wszystko było wykupione. Relacje międzyludzkie praktycznie całkowicie wtedy zanikły, ludzie bardzo rzadko się ze sobą widywali, nie urządzano żadnych spotkań rodzinnych, urodzin, ani tym podobne.

Na drugi dzień od wprowadzenia stanu wojennego, przyszła do mnie sąsiadka. Powiedziała mi o tym, że jej mąż, który pracował jako taksówkarz, przyjechał z miasta i powiedział, że w mieście zaczęła się wojna, bo czołgi wjeżdżają do zakładów. Byłam wtedy w domu sama z dziećmi i bardzo się przestraszyłam. Całe szczęście okazało się, że to nie wojna.

Zdj. Archiwum wrocławskiego oddziału IPN. Ze zbiorów Ireny Dylawerskiej.

„Nochal”

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miał 33 lata,
mieszkał we Wrocławiu, w starym poniemieckim domu,
pracował w kółku rolniczym jako traktorzysta.

Stan wojenny wybuchł, gdy moja córka miała miesiąc. Zastał mnie w pracach polowych, a jak zaczęły się rozruchy Solidarności, to strajkowaliśmy. Strajki były też przed stanem wojennym, przykładowo w czasie godzin pracy, jedna godzina była strajkiem. Wtedy robiło jakieś śniadanie czy siedziało się tę godzinę. Najbardziej bałem się tego, że mnie wezmą do wojska i będę musiał zostawić rodzinę. Bałem się też, że sobie nie poradzimy. Trzeba było świnie zabić na Boże Narodzenie, nie wiadomo czy pozwolą. Człowiek sobie tego nie wyobrażał, ze nie można było gdzieś chodzić. Były budki na wsi, w których stali żołnierze i pilnowali. Bałem się, że wybuchnie wojna, bardzo się bałem. Tato był w ruskim wojsku, o wojnie opowiadał straszne rzeczy. Ja wiedziałem co Ruscy potrafią, co Niemcy potrafią.

Wieczór, ciemno, twoja mama ma miesiącnie i pamiętam, ale to chyba były jej chrzciny. Podchodzę do okna, a tu od parku stoją kolumny samochodowe na światłach. Na drugi dzień chodzą żołnierze po ulicach. Na boisku stoją namioty, żołnierze śpią na paletach, bez łóżek. Nikt nie wiedział co się wydarzy. Wszyscy się bali. Wyczuwało się, że niektóre osoby maja większe kontakty z rządzącymi. Trzeba było uważać na słowa, bo ludzie kapowali na siebie. Przyjeżdżali i pytali się, dlaczego pan to, dlaczego pan tamto. Także ja byłem raczej cicho, nie byłem z takich, którzy się bardziej wychylali.

Stanisława

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 33 lata,
mieszkała we Wrocławiu.

Dowiedziałam się o tym w pracy i później wieczorem w telewizji. Wystraszyliśmy się wszyscy po tej wiadomości, nie wiedzieliśmy co robić i co będzie. Baliśmy się wszystkiego i nie wiadomo było co będzie. Było strasznie wychodzić na ulicę. Była wprowadzona godzina policyjna po 22.00 nie można było wychodzić z domu. I ja wracałam po 22.00 z pracy i mieliśmy specjalne zaświadczenia, które pozwalały nam wracać po godzinie milicyjnej. Raczej było ciężko poruszać się po kraju, a rodzinę w tamtych czasach miałam tutaj we Wrocławiu, więc odwiedzaliśmy się na święta.

Było bardzo ciężko coś kupować w sklepach. Produkty można było kupić tylko przy pomocy kartek na artykuły spożywcze i przemysłowe. Brakowało produktów i nie zawsze można było kupić to, czego się potrzebowało. Były duże kolejki, trzeba było w nich długo stać i czekać. Miałam koleżankę oraz kuzynkę, które pracowały w sklepie, więc czasami pomagały mi z kupnem deficytowych towarów.

Barbara Porada

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 38 lat,
była młodą mężatką i miała dwoje małych dzieci,
pracowała w pierwszym oddziale PKO we Wrocławiu przy ulicy Wita Stwosza 33.

To była niedziela, zimowa, piękna, duży mróz i duży śnieg. Rano obudziliśmy się z mężem i małą córeczką, ponieważ syna nie było w domu, pojechał z dziadkami do Warszawy. A my chcieliśmy obejrzeć rano „Teleranek". Przed godziną dziewiątą włączyliśmy telewizor i okazało się, że telewizor był ciemny, wyglądał jakby się zepsuł i nie było żadnego programu. Ponieważ był w domu drugi telewizor, więc go włączyliśmy. Okazało się, że w drugim telewizorze również nic się nie działo. O pełnej godzinie ekran się zmienił i pokazał się generał Jaruzelski, na tle orła i biało-czerwonej flagi. Wygłosił krótkie przemówienie i ogłosił stan wojenny w kraju. Byłam przerażona, samym faktem nazwy ,,stan wojenny'' oraz tym, że nie ma w domu moich rodziców i syna, który był wtedy w Warszawie. A wiadomo, że w stolicy zawsze będą największe rozruchy, jeżeli takowe się pojawią. Ponieważ w domu nie było telefonu, bo wtedy na przedmieściu Wrocławia nie było takich możliwości, najbliższy telefon znajdował się w magazynie PSS Społem, do którego trzeba było kawałek podejść. Pobiegłam do telefonu, ale okazało się, że telefony są już nieczynne. Nie mogłam skontaktować się z bratem i rodzicami, aby dowiedzieć się, co się właściwie dzieje. Usłyszeliśmy szum i wyszliśmy na podwórko. Mieszkaliśmy w niedalekiej odległości od lotniska. Zobaczyliśmy nadlatujące białe wojskowe helikoptery, zniżające się do lądowania. Spowodowało to jeszcze większy przestrach, bo okazało się, że ten stan wojenny może być znacznie dolegliwszy, skoro wojsko w ten sposób się zachowuje. Przepłakałam pół dnia, nie wiedząc co się dzieje z synem. Około godziny siedemnastej przed oknem w kuchni pokazali się rodzice z dzieckiem, ponieważ moja mama, która przeżyła II wojnę światową, stwierdziła, że jak wojna, to trzeba szybko wrócić do domu. I przyjechali z Warszawy pierwszym pociągiem do Wrocławia. W zasadzie to Muchobór to przedmieście, więc tam żyło się cicho i spokojnie. Nie było codziennych oznak stanu wojennego. Nie tak jak w centrum, gdzie odbywały się różne demonstracje i pochody.

Na początku to podstawowych produktów codziennego użytku, jak chleb czy masło nie brakowało. Mięso i wędliny były na kartki, więc trzeba było czekać w kolejkach. Problem był z kawą, słodyczami i alkoholem, bo to też był towar reglamentowany. Oczywiście zamiennie, kiedy ktoś nie chciał alkoholu, można było kupić słodycze albo zamienić się z kimś innym. Z czasem coraz więcej towarów było na kartki. Nawet kartki na obuwie przysługiwały raz na jakiś czas. Kupno artykułów pierwszej potrzeby dla dzieci trzeba było odnotować w książeczce zdrowia. Masło ser, nawet ubranka dziecięce można było kupić za okazaniem książeczki zdrowia i dokonaniem wpisu przez panią ekspedientkę. Kolejki były długie i były wtedy, kiedy w sklepie był towar. Bo jak nie było towaru to i kolejek nie było. Ludzie wiedzieli, kiedy będą dostawy, więc w kolejkę ustawiali się przed przywiezieniem towaru.

Krótko po wprowadzeniu stanu wojennego rozpoczynał się okres przedświąteczny. Kupiliśmy z mężem dużą piękną choinkę. To, że wprowadzono stan wojenny, nie oznaczało, że ludzie nie pielęgnowali dotychczasowych świąt i tradycji. Wiadomo było, że nie zmieścimy się z tą choinką do autobusu i postanowiliśmy, że pójdziemy do domu pieszo. Skręciliśmy w Ostrowskiego i zobaczyliśmy duże wojskowe samochody. Po drugiej stronie ulicy znajdowały się Wrocławskie Zakłady Naukowe. Pracowało tam bardzo dużo ludzi, był tam duży związek zawodowy ,,Solidarność''. Zbliżała się godzina 14, ludzie mieli wyjść z pracy, a naprzeciwko ustawione było wojsko, które obawiało się jakiś rozruchów. Chciałam zawrócić, na co mąż powiedział, żen jak doszliśmy, to już idziemy, nikt nam nic nie zrobi. No bo przecież idziemy tylko z choinką do domu. Na szczęści udało nam się szybko przejść za szpalerem wojska. I już spokojną ulicą doszliśmy szybko do domu.

Ludzie stali się dla siebie trochę lepsi, bardziej solidarni. Nie kursowały już później autobusy i tramwaje, a ja musiałam się przemieszczać do domu (z Muchoboru do centrum do pracy). Musiałam wstawać wcześnie rano i iść na piechotę, po prostu nie było innego wyjścia. Ale ludzie, którzy mieli samochody i jeździli nimi do pracy, bez żadnego machania, po prostu zatrzymywali się i pytali, dokąd podwieźć. Tak pomagali sobie, aby móc się dostać do swoich miejsc pracy.

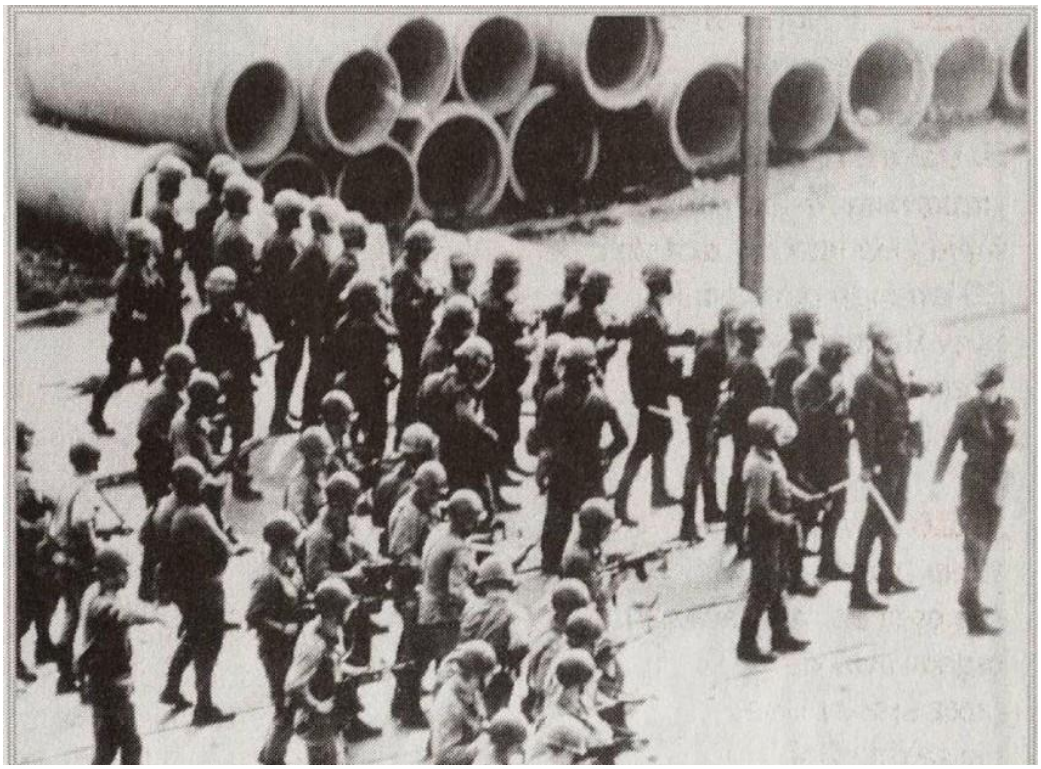

Zdj. ZOMO na ul. Legnickiej, 31.08.1982 r. Źródło: fotopolska.eu/kavikvs

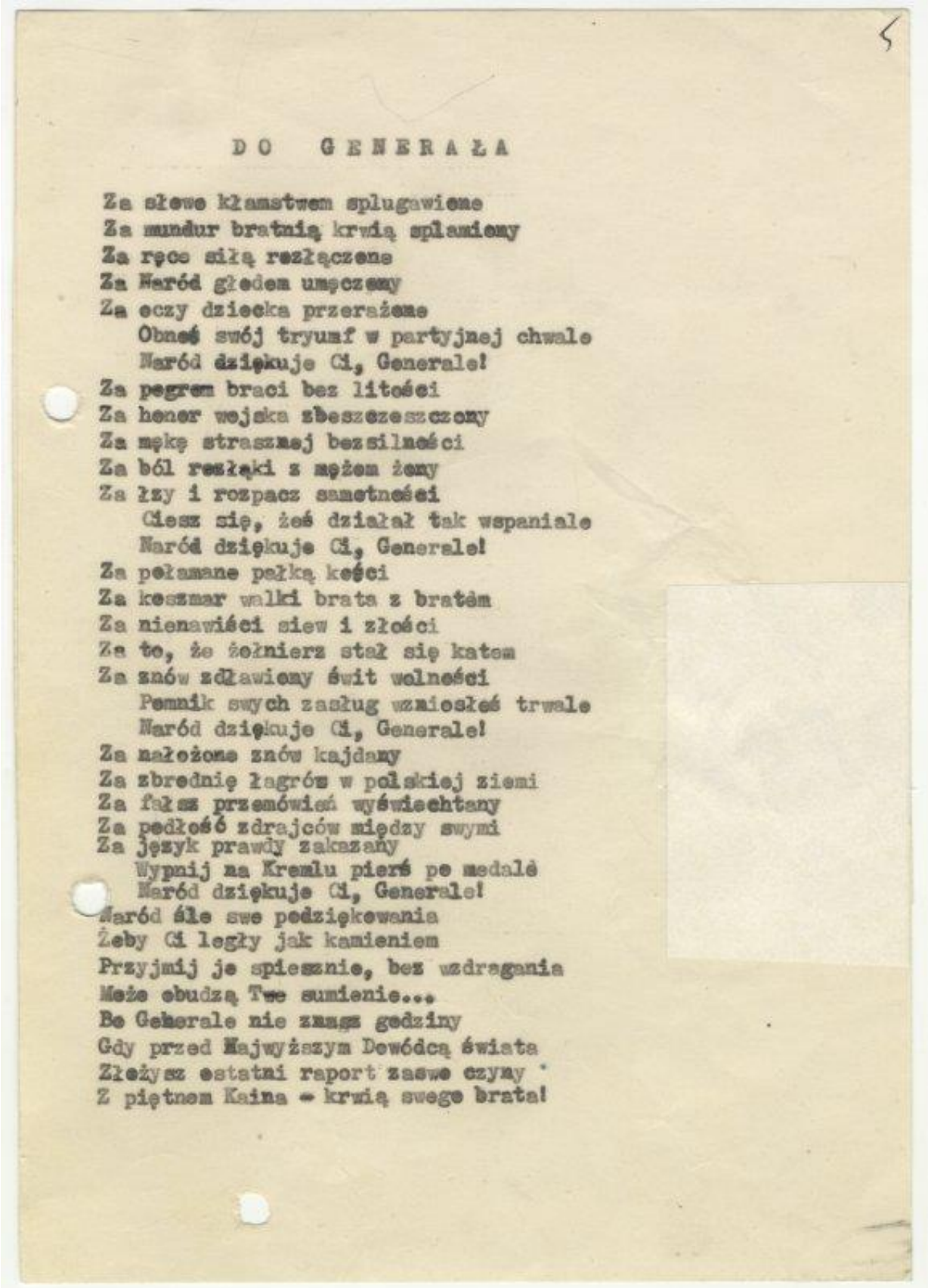

5

DO GENERAŁA

Za słowo kłamstwem splugawione
Za mundur bratnią krwią splamiony
Za ręce siłą rozłączone
Za Naród głodem umęczony
Za oczy dziecka przerażone
Obnoś swój tryumf w partyjnej chwale
Naród dziękuje Ci, Generale!
Za pogrom braci bez litości
Za honor wojska zbeszczeszczony
Za mękę strasznej bezsilności
Za ból rozłąki z mężem żony
Za łzy i rozpacz samotności
Ciesz się, żeś działał tak wspaniale
Naród dziękuje Ci, Generale!
Za połamane pałką kości
Za koszmar walki brata z bratem
Za nienawiści siew i złości
Za to, że żołnierz stał się katem
Za znów zdławiony świt wolności
Pomnik swych zasług wzniosłeś trwale
Naród dziękuje Ci, Generale!
Za nałożone znów kajdany
Za zbrodnię łagrów w polskiej ziemi
Za fałsz przemówień wyświechtany
Za podłość zdrajców między swymi
Za język prawdy zakazany
Wypnij na Kremlu pierś po medale
Naród dziękuje Ci, Generale!
Naród śle swe podziękowania
Żeby Ci legły jak kamieniem
Przyjmij je spiesznie, bez wzdragania
Może obudzą Twe sumienie...
Bo Generale nie zmaga godziny
Gdy przed Najwyższym Dowódcą świata
Złożysz ostatni raport zaswe czyny
Z piętnem Kaina - krwią swego brata!

Zdj. Rymowany utwór o treści politycznej z okresu stanu wojennego.
Z archiwum wrocławskiego oddziału IPN.

Urszula Kwiatkowska

W czasie stanu wojennego miała 38 lat,
mieszkała we Wrocławiu i była na urlopie wychowawczym.

Włączyłam telewizor, żeby pokazać dzieciom bajki, jednak telewizor nie działał, a po jakiś czasie pokazał się generał Wojciech Jaruzelski i ogłosił stan wojenny. Ciężko było w to uwierzyć, nie wiedziałam czy naprawdę zacznie się wojna, z kim? Bałam się o moje dzieci. Bałam się też, że wojska wejdą do miast, zaczną się bombardowania, stracę dom i rodzinę.
I wojsko pojawiło się na ulicach, były ograniczenia wychodzenia z domu, ograniczenia w poruszaniu się po kraju, brak jakiejkolwiek komunikacji (telefony, radia itp.) Nie można było jeździć między miastami, ale na szczęście u nas cała rodzina mieszkała we Wrocławiu, wiec nie było problemu z dojazdem. Święta były bardzo smutne, mimo że byliśmy razem. Musieliśmy pilnować godziny, żeby wszyscy mogli wrócić na czas bez żadnych problemów związanych z godziną milicyjną.

Właściwie stało się w kolejce po każdy rodzaj produktu, a szczególnie po rzeczy pierwszej potrzeby, czyli chleb, masło, mąkę. Jedyna rzecz jaka zawsze była w sklepie to ocet. Moj mąż pracował wtedy w sklepie z częściami samochodowymi, dzięki czemu mieliśmy trochę łatwiejszy dostęp do niektórych produktów. Ludzie przychodzili do niego i, w zamian za części samochodowe, wymieniali się zdobytym towarem. Pamiętam jak kiedyś stojąc w kolejce bardzo pokłóciłam się z młodym chłopakiem o miejsce w kolejce. Takie sytuacje miały miejsce bardzo często, bo ludzie starali się stać w kolejkach jak najkrócej i zdobyć jak najwięcej towarów.

Jednocześnie ludzie z reguły pomagali sobie nawzajem, wspólnie protestowali, albo pomagali protestującym, pozwalając im schować się u nich w domach przed milicją. Nie spotkałam się z żadną zawiścią i zazdrością z powodu np. zdobytego jedzenia.

Moja córka była bardzo chora na zimę, miała wysoką gorączkę i nie wiedziałam co zrobić, bo nie mogłam się skontaktować ze szpitalem (z powodu zablokowanych telefonów). Musiałam pójść do wojska stojącego na ulicy i prosić ich o pomoc. Było to bardzo stresujące, ale okazali się pomocni, zadzwoni po lekarza, który pomógł mojej córce.

Syn mojej kuzynki pracował w wojsku, po ogłoszeniu stanu wojennego przyjechali po niego w środku nocy bez żadnego uprzedzenia na dwa tygodnie. Moja kuzynka cały czas płakała, bo nie wiedziała co się z nim dzieje. Po powrocie mówił, że nic nie pamięta, wszyscy byli cały czas pod wpływem narkotyków podawanych przez wojsko, żeby byli w stanie bez oporów wykonywać rozkazy i atakować każdego protestującego.

Halina Kowalska
w czasie stanu wojennego miała 39 lat,
mieszkała we Wrocławiu i pracowała w szpitalu im. Rydygiera jako lekarz.

12 grudnia 1981 roku miałam dyżur w szpitalu. W czwartek, do godziny 20.00, do izby przyjęć przyjeżdżały karetki Pogotowia Ratunkowego z chorymi, dzwoniły telefony. Od godziny 24.00 zapanowała cisza i spokój, nie przyjeżdżała żadna karetka. Telefony nie działy, w radiu nadawano tylko muzykę poważną i nie było żadnych wiadomości. Aż nagle o godzinie 6.00 rano radio nadało przemówienie generała Jaruzelskiego, w którym ogłosił wprowadzenie na terenie całego kraju stanu wojennego. Słuchaliśmy komunikatów i wiadomości w ciszy, z niedowierzaniem. Byliśmy zaskoczeni, zszokowani i przerażeni. Po zdaniu dyżuru, ok. godz. 9.00 wyszłam ze szpitala. Był niedzielny poranek, zimno, biało, śnieg skrzypiał pod nogami, a na ulicach Wrocławia widać było wozy opancerzone, czołgi, wojsko, liczne patrole milicji. Do domu wracałam na piechotę, bo komunikacja nie funkcjonowała. Odczuwałam coraz większy niepokój, zastanawiałam się co przyniesie przyszłość. Gdy weszłam do domu, zobaczyłam męża, który z naszą pięcioletnią córką oglądał czeski program telewizyjny i bajki o Kreciku. Powiedział, że nie ma polskiego programu w telewizji i było jasne, że nic nie wiedział o stanie wojennym. I znowu niedowierzanie, dezorientacja, niepokój. Zawieszony program radiowy, telewizyjny. Jedynie co kilka godzin nadawano powtórnie wystąpienie generała Jaruzelskiego. Narastał w nas coraz większy niepokój.

Wprowadzenie stanu wojennego znacznie ograniczyło życie całego społeczeństwa, ale i każdego z nas. Zabroniono gromadzenia się w miejscach publicznych. Odebrano prawo do strajków, wprowadzono funkcję komisarza wojennego. Zawieszono działalność organizacji społecznych w tym oczywiście związków zawodowych. Ograniczono, a właściwie zawieszono działalność kin, teatrów, wprowadzono cenzurę prasy, przesyłek pocztowych. W pierwszym okresie przerwano łączność telefoniczną. Następnie rozmowy telefoniczne były kontrolowane. Słynne powiedzenie: „Najlepsze kasztany są na Placu Pigal" spowodowało rozłączenie prowadzonej przez mnie rozmowy z kolegą. Wprowadzono godzinę policyjną od godziny 22.00 do 6.00 rano. Obowiązywały wówczas przepustki. Zawsze wychodząc z domu trzeba było się liczyć z tym, że można zostać wylegitymowanym, a więc każdy musiał mieć przy sobie dowód osobisty, a młodzież do 18 roku życia legitymację szkolną. Można się było spodziewać nagłego zatrzymania czy rewizji w mieszkaniu. Były utrudnienia w komunikacji miejskiej. Do pracy chodziłam na piechotę, wyznaczając sobie najkrótszą trasę. Zniesiono wolne soboty. Na ulicach nadal były wozy opancerzone, a także wojsko, liczne oddziały milicji.

Od 14 grudnia na trzy tygodnie zostały zawieszone zajęcia w szkole i na studiach. Niemniej studenci, początkowo Uniwersytetu Wrocławskiego, a następnie i innych

uczelni, pomimo zakazu, zaczęli organizować akcje protestacyjne oraz strajki okupacyjne.
W czasie stanu wojennego podróże po kraju były bardzo utrudnione. Wyjazd z miejsca stałego zamieszkania do innego województwa wymagał uzyskania przepustki, zgody. Dodatkowo były problemy z zakupem benzyny, była mała ilość prywatnych samochodów. Rzutowało to na możliwość wyjazdu. Wyjazd za granicę był praktycznie niemożliwy. Godzina policyjna ograniczała czas wizyty. Jedynie rodziny, które mieszkały blisko siebie, spotykały się w czasie świąt.

Zaopatrzenie w sklepach w tym czasie było bardzo ubogie. Najczęściej były to puste półki, na których stał tylko dyżurny ocet. Nadal obowiązywały wprowadzone uprzednio kartki na artykuły spożywcze, a więc mięso, cukier, masło. Kartki trzeba było rejestrować w wybranym sklepie, a i tak towar był dostarczany sporadycznie. Właściwie tworzyły się olbrzymie kolejki za wszystkim. Pojawiał się tak zwany „stacz kolejkowy", który za drobną opłatą lub jakąś inną gratyfikację, polował na upragniony przez kogoś towar. Były również kartki na buty czy ubranka dla dzieci. Zakup dokonany przez rodzica był odnotowany w książeczce zdrowia dziecka.

Relacje międzyludzkie były różne, jak różni są ludzie. Były też inaczej w początkowym okresie stanu wojennego, gdzie dominował strach, niepokój. Myślało się o tym, czy ten z kim rozmawiam to przyjaciel, który myśli tak samo jak ja? Czy to był wróg, który doniesie do mnie do władz? Ale z upływem czasu coraz częściej ludzie pomagali sobie nawzajem. Udzielali schronienia działaczom czy sympatykom Solidarności. Informowali ich o złych wiadomościach. Były organizowane zbiórki pieniężne dla rodzin internowanych, zaczynało powstawać podziemie polityczne. Drukowane były ulotki, gazetki, które roznosili między innymi uczniowie, studenci. Wszystko to działo się pomimo wiedzy, że w razie ujawnienia takich zachowań grożą za to represje, zwolnienie z pracy, czy z zajmowanego stanowiska, kara grzywny, a nawet aresztowanie i więzienie. Ludzie jednak się jednoczyli, wierząc w lepsze jutro. Coraz częściej wybuchały protesty, manifestacje, strajki okupacyjne.

Oczywiście nie możemy również zapomnieć o roli kościoła, który stanął w obronie zarówno prześladowanych jak i uwięzionych. Powstał Polski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności. Kościół zapewniał opiekę duszpasterską, pomoc duchową, materialną i prawną. Kapłani odprawiali „Msze za Ojczyznę", organizowali patriotyczne koncerty, wystawy. Jednocześnie tworzył się „gang księży", którzy handlowali dolarami, za które wtedy u księdza można było kupić nieosiągalne na rynku przedmioty.

Była też pewna grupa osób, która popierała wprowadzenie stanu wojennego i zgadzała się z jego założeniami. To osoby, które wstępowały do Milicji czy do ZOMO i bardzo gorliwie, brutalnie wypełniały zalecenia władzy, zwłaszcza w akcjach pacyfikacji innych, jak i wobec osób aresztowanych.

Pamiętam dzień 31 sierpnia 1982 roku. Była to druga rocznica podpisania Porozumień Sierpniowych i miałam dyżur w szpitalu. Od godzin popołudniowych zaczynali się zgłaszać ludzie, którzy doznali urazów podczas manifestacji. Zwana ona była powszechnie przez milicję i ZOMO „Pacyfikiem”. Tych najbardziej poszkodowanych przywoziły karetki pogotowia. Zamykaliśmy wtedy okna w szpitalu, gdyż do pomieszczeń szpitala z zewnątrz wdzierał się odrażający zapach gazu łzawiącego. Koledzy chirurdzy nieustannie udzielali pomocy poszkodowanym.

Zdj. Przypinka p. Haliny Kowalskiej, identyfikująca członków należących do NSZZ „Solidarności”.

Zofia Kowalczyk

w czasie wprowadzenia stanu wojennego miała 45 lat, mieszkała na obrzeżach Wrocławia i pracowałam w zajezdni na ul. Zakrzowskiej.

O wprowadzeniu stanu dowiedziałam się właśnie w pracy, miałam wtedy nocną zmianę. Mój kierownik zadzwonił do mnie o północy 13 grudnia i powiedział, żebym nie ruszała się z miejsca i czekała na resztę załogi, która robiła obchód zajezdni. Od razu po tym telefonie włączyłam radio, żeby posłuchać tego co się dzieje, ale w nim co pół godziny leciał tylko komunikat Jaruzelskiego właśnie o wprowadzeniu stanu.

Kiedy wprowadzono godzinę milicyjną, nie można było bez przepustki pójść do pracy, ani wrócić z niej po godzinie 22. Cała komunikacja była zatrzymana na czas strajków. Mój mąż pracował wtedy w Polarze, a tam odbywały się również strajki. Najpierw siedzieli tam dwa dni, bo budynek był obstawiony milicją, wojskiem, czołgami. Jednak po tych dwóch dniach ludzie się zebrali i wyszli. Wtedy strajk szedł pod katedrę.

Pewnego dnia, kiedy byłam na dziennej zmianie w pracy, to ktoś z tyłu budynku napisał Katyń. Jak milicja się o tym dowiedziała, to dostała jakiejś białej gorączki. Wzywano ciągle jakiś generałów, przesłuchiwano mnie też wtedy, pytano kto to zrobił Ale skąd może to człowiek wiedzieć jak pracował w środku. Po jakiejś godzinie ci milicjanci zamazali ten napis i wyszli, ale potem były kontrole co chwile i człowiek nie mógł w spokoju pracować.

Ludzie bali się sobie zaufać, ogólnie podczas stanu wojennego panował wielki strach. Starsi ludzie, kiedy to ogłoszono płakali, bo myśleli, że znowu wojna idzie. Ja też bałam się bardzo, na przykład moja córka pracowała w zakładzie i tam dostała takie przepustki na konserwy, bo wtedy jeszcze nie było kartek. Kiedy ja jechałam kupić te konserwy, to musiałam upychać je w torbie, żeby nikt nie zobaczył.

Na samym początku działania „Solidarności" były bardzo dobre i dawały taką nadzieję ludziom. Ale później wielu szpiegów się tam dostało i ludzie „Solidarności" przekraczali swoje granice.

Zdj. Romulad Sołdek. Sklep meblowy we Wrocławiu, lata osiemdziesiąte.

Urszula P.
w czasie prowadzenia stanu wojennego miała 45 lat.

Kiedy ogłoszono stan wojenny byłam w pracy, akurat przez telefon zostaliśmy powiadomieni, że Wojciech Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Powiedzieli nam, że jest niebezpiecznie na ulicach. Wszędzie było pełno wojska, milicji i tych wszystkich umundurowanych. Było naprawdę poważnie. Dostaliśmy takie przepustki o tym, że pracujemy w dzień i w nocy, bo bez nich mielibyśmy kłopoty. Jak się miało przepustkę, to człowiek się nie bał poruszać.

Bardzo bałam się wychodzenia z domu na przykład do sklepu, bo niby można było, ale tak dziwnie się człowiek czuł, jakby w ciągłym stresie, że się mu krzywda stanie. Bo oni wtedy za byle co bili. Nie liczyło się dla nich w ogóle czy to Polak czy nie. Te zomowce to były takie znarkotyzowane i bez żadnej świadomości. Wszystko było w sumie pod strachem.

W sklepach nic nie można było kupić, tylko te kartki. Strach było chodzić z mięsem, bo ktoś by się jeszcze spytał skąd ja to wzięłam. Jak się nie miało przepustki, to zamykali ludzi do auta i tyle ich widziano. Nikt sobie nie ufał i prawie w ogóle się ludzie nie spotykali, bo się wszyscy bali bardzo. Żadnych zgromadzeń ani nic.

Na tylnej ścianie budynku, w którym pracowałam ktoś w nocy napisał KATYŃ. Tyle milicji przyjechało, bo jak w stanie wojennym oni słowo Katyń usłyszeli, to od razu się wpieniali. Tak nieprzyjemnie się mnie pytali, jak to jest, że ja tu pracuję i ktoś mi z tyłu pisze takie coś i ja nic nie wiem. Bardzo się wtedy bałam, że mnie zabiorą, ale chyba przez to, że ja miałam dzieci i nigdy nie było problemów ze mną, to oni sobie dali spokój. Momentalnie ten napis zamazali...

LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE NR I
im. Danuty Siedzikówny INKI
we Wrocławiu

Wrocław, 13.12.2021 r.